



PISMO TYGODNIOWE ILLUSTROWANE DLA KOBIET.

Prenumerata w Warszawie.

We wszystkich księgarniach i kantorach pism peryodycznych po cenie rocznie rsr. 7 kop. 20; półrocznie rsr. 3 kop. 60; kwartalnie rsr. 1 kop. 80; miesięcznie kop. 60.

Prenumerata w Cesarstwie i Królestwie:

Kwartalnie rsr. 2 kop. 50; półrocznie rsr. 5, rocznie rsr. 10.

Wydawca **MICHAŁ GLÜCKSBERG.**

EXPEDYCYA GŁÓWNA W KSIĘGARNI WYDAWCY

Ulica Królewska Nr. 5.

W Cesarstwie Austriackiem we Lwowie u Gubrynowicza i Schmidta kwartalnie flor. 3; na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 8.0
W Krakowie: u D. E. Friedleina, kwartal. flor. 2 cent. 75 na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 50.

W W. Ks. Poznańskim: u Leitgebera i Spół., kwartal. 5 marek

EMANUEL GEIBEL.

RZEŹBIARZ HADRYANA.

przełożył Miriam.

A więc stanęła już wspaniała
Świątynia, wkrąg wzrósł kolumn las,
Kopuła złotem zajaśniała,
Mozajką świeci każdy głaz
Piorunodzierzcy marmurowa
Lśni wewnątrz postać, utwór mój;
Ty chwalisz, panie, a twe słowa
Powtarza wnet dworaków rój.

A jednak, gdy oglądam lepiej
W tem miejscu własne dzieło me,
Jednego ono mnie nie krzepi
I czuję prawie wstydu łzę.
Czy gdzie proporcya nie skażona,
Czy podziw z wszystkich błyska lic:
Obawa mi nie wstrząsa łona,
Z nieznanym wrażeń nie mam nic....

O, kłatwo zła naszego wieku,
Że niema wicherów w nim, co grzmia,
I tęsknot, które wrą w człowieku,
A w duchu twórczym kształtów chcą
I wciąż go dręczą, aż w zapale
Odczute tętna w marmur tchnie
I w pięknie, wszystkim zrozumiale,
Odśloni to, co skryte w mgłę.

Posłuszny kamień naszej dłoni,
Świadomy każdy dłuta cios,
Lecz gdy się wreszcie kształt odśloni,
Przeszłości tylko brzmi w nim głos.
Zbieraczy mądrych—smutna praca,
Nie roztli ona w piersiach zór!
Co pięknem jest, to tylko wraca,
Co cieszy nas, to było już.

Zamknięte form czarowne koło,*
Gdzie grecki duch się wzbił, jak ptak;
Idziemy oslep, chyląc czoło,
Przez życie, w którym treści brak.
Gdzie dzisiaj ogień lśni ofiarny?
W obchodach świętych pustka tkwi.
W otchłani wiara znikła czarnej,
Ozdobą martwą—symbol jej.

Me włosy jeszcze nie zsiwiały,
Nie z wieku bladość, zmarszczek cień,—
A dałbym jednak żywot cały
Za Fidyasa jeden dzień;
Nie, że świat cały hołd mu złożył,
Że tłum u jego klękał nóg.
Nie, lecz, że Zeus, którego stworzył,
Żył w duchu jego, jako bóg.

To było jego szczęściem, gwiazdą,
Że go pobożnej wiary duch
Na skrzydłach swych, nadniebną jazdą,
W pra-istot wyższych uniósł ruch.
On był z wybranych, co widzieli
Olimpu jaśniejący próg,
Gdy my—bez bogów srebrnej bieli—
U skrzyżowania stoim dróg.

Twórczości wyschła do dna czasza,
Gdy niebo znikło w zwątpień mgłę;
My wiemy to, lecz wiedza nasza
Raz straconego nie da, nie!
Nie błysnie sztuce znów zaranie,
Aż nad dni naszych fałsz i szych
Bóg nowy w zorzach chwały wstanie
I ofiarników wezwie swych!

ZABIEGI PANA PIOTRA.

POWIEŚĆ

SEWERA.

(Dalszy ciąg).

Ten Piotr, którego przyzwyczaiła się uważać za niewolnika, zaczął wyłamywać się spod jej władzy, spiskować przeciwko niej. Klarcia uczuwała wstręt do tych wszystkich, którzy ośmielili się ukrywać cośkolwiek przed nią. Dla tych i dla innych powodów nie lubiła kuzynki swej, hrabiny, Izy zaś dla jej piękności, szczerości, prostoty i hołdów, oddawanych jej przez młodzież.

— W całej tej walce odniesie zwycięstwo Oleś. Myśl ta oświeciła jej umysł błyskawicą. Hrabia Oleś był jej blizkim krewnym a dalekim kuzynem hrabiny.

— Wygra Oleś—powtórzyła—dlaczego odrazu ta kombinacja nie przyszła mi do głowy? Oleś, kochany Oleś—odwróciła się, spojrzała na pana Piotra tak jakoś łaskawie, że wzruszony spuścił oczy.

— To ty, biedaku, pracujesz dla mojego Olesia — pomyślała. — W salonie oprócz pana Piotra nikt go nie było.

— A zatem jutro pierwsze posiedzenie? — zapytała.

— Jutro — podchwycił pan Piotr. — Znalazłem modniarkę, która podług rysunku wykona kostium. Jeden z młodych malarzy przyrzekł mi swą pomoc w odrobieniu szczegółów. Wszystko się wybornie układa. Na pierwsze posiedzenie przyjdzie hrabia.... Pani — rzekł pocichu — miałaś do mnie żal. W tak delikatnej sprawie.

— To była za zbyt delikatna sprawa dla mnie. Nieprawdaż?

— Panno Klaro, dokuczasz mi, znęcasz się nad mną, a w duchu jesteś przekonana, że postąpiłem jak powinienem, jak mi nakazywał honor.

— Prawdziwe uczucie zwycięża honor — odparła Klarcia wyniosło.

Wróciła do salonu hrabina.

— Jest już płótno. Ależ obraz będzie olbrzymi!

Pan Piotr zapragnął zobaczyć płótno i jego rozmiary i ustawić je w odpowiednim świetle. Przygotować dywan, portyery — wszystko. Czuł się dziś wielkim, laska hrabiny i ostatni w rozmowie frazes Klarci upajały go.

III.

Płótno ustawiono w salonie; jedno okno w dwóch trzecich częściach przysłonięto dywanem, inne zasłonięto zupełnie. W salonie zrobił się zmrok z silnem uderzeniem światła na twarz dziewczęcia i płótno. Przed płótnem, z paletą w ręku, stał artysta; na podniesieniu, jak na stopniach tronu, siedziała dziewczę przybrane w czapkę o ponsowym denku, haftowaną perłami i złotem.

W rogu salonu na kozetce siedziała Klarcia. Jak kotka, zmruryła oczy i jak kotka zęicha sapiała. Dokoła panowała cisza przerywana miarowem pomrukiwaniem śpiącej Klarci.

Artysta malował gorączkowo, przenosząc wzrok z płótna na twarz dziewczęcia. Spojrzenia ich krzyżowały się, wydobywając silniejszy blask w oczach artysty i silniejszy róż na usta i twarz dziewczęcia.

— Odpocznijmy — szepnęła — nieruchomość nuży mnie.

Artysta zbliżył się, podał jej rękę i sprowadził z podniesienia z gracyą właściwą wielkim artystom lub wielkim panom.

— Przymus jest męczarnią....

— Chociażby na tronie — szepnęła — usiadła na krześle, palce zaplotła i głowę pochyliła jak ta, która odpoczywa po ciężkiej pracy.

— Dobrze mi teraz i chciałabym, aby odpocznę ten trwał długo, długo....

Malarz się pochylił i dotknął ustami jej ręki.

Suknia Klarci zaszeleściła. Przestraszeni obejrżeli się. Klarcia miała zamknięte oczy, rękę zsunęła na kozetkę.

— Nie rób pan tego — szepnęło dziewczę rumieniąc się.

— Pragnąłem podziękować i oddać cześć.

— Pan mi dziękujesz?

— Dziękuję pani za przebudzenie duszy mej. Przebudzeni muszą mieć wdzięczność dla dających życie. Myśli moje dziś inaczej się układają, wzrok inaczej patrzy na świat, serce bije inaczej. Kochać, to czuć, słuchać i patrzeć i korzystać się.

Ręka Klarci podniosła się z kozetki. Jedwabna suknia zaczęła powtórnie szeleścić, wiotka postać się poruszyła.

Przestraszeni spojrzeli na nią. Uśmiechała się, przez sen podniosła rękę do czoła. Uśmiech powoli zastygał i ręka opadła.

— Wracajmy do pracy — rzekło rozmarzone dziewczę.

Stała przed obrazem, wpatrując się.

— Czyż podobna, żebym to ja była? Światło na mem czole, w oczach głębie myśli. Jest to raczej królowa, lub święta.

— Pragnę, aby łączyła w sobie królewskość ze świętością, wtedy portret będzie jedynie praw-

dziwy. Panujesz w mem umyśle, czczę cię, jak świętość mego serca.

Rozrzucone dziewczę nie śmiało odpowiadać. Obawa i radość walczyły w niej, raz przygnębiała ją jedna, to znowu zwyciężała druga.

— Wracajmy do pracy — powiedziała smutnie i westchnęła.

— Wracajmy, pani — na tron, ja niewolnik królowej, fatalizmu, sztuki, natchnienia, uczuć swych — do pędzla.

— Gdybyś pan wiedział, jak mi moje korony ciężą!

Spojrzała na siebie, artysta postąpił jeden krok, dziewczę wyciągnęło ręce, jak gdyby się bronić chciało.

Klarcia poruszyła się, czyniąc hałas jedwabną suknią, malarz zbliżył się do dziewczęcia, poprawił fałdy axamitnej sukni, wziął paletę i pędzel i zaczął malować.

— Zuchwalstwo twoje — myślała Klarcia, świdrując małemi oczkami malarza — woła o pomstę do Boga. To tak przyjmować do towarzystwa jakichś demokratów, literatów i malarzy! Schlebają im, nadskakują, mówią komplementa, psują i rozzuchwalają. Gdyby nie Oleś, gdyby nie jego i moja sprawa, rozpędziłabym ich. Ograniczona dziewczyna straciła głowę, godność, poczucie przyzwoitości.... Korony jej ciężą, dlatego, że on ich nie ma, — głupia! Jemu się zachciewa stu tysięcy pięknej dziewczyny i hrabianki — błazen! Ach, ten Piotr, ten Piotr, jakież on osioł! O, jaka wspaniała burza zahuczy w tym domu!

Metaliczny odgłos dzwonka dał znać o wizycie.

— August — rzekł malarz. Klarcia zerwała się z kozetki; do salonu weszła hrabina i prawie jednocześnie we drzwiach ukazał się hrabia.

— Tak dawno — witała go hrabina z wymówką.

— Musiałem się zastosować do woli mistrza — odparł hrabia. — Kazał mi przyjść dopiero wtedy, gdy twarz będzie skończona: jestem. — Spojrzał na portret. Oczy hrabiny i Klarci pobiegły w tym samym kierunku.

Hrabia patrzył, przenosząc wzrok z portretu na Izę i znowu wpatrując się w portret. Milczenie uroczyste panowało w salonie. Nikt nie śmiał przerywać hrabiemu, chociaż cichy zachwyt jego niecierpliwili hrabinę i Klarcię.

Po długiej chwili hrabia wyciągnął rękę do malarza, pochylił się i złożył pocałunek na jego czole.

— Dumny jestem z ciebie i szczerę się tobą. Na portret ten składali się Rembrandt, Rafael i koniec XIX wieku pod względem techniki.

Hrabina złośliwie się uśmiechnęła. Zobaczył to hrabia i mówił dalej.

— Tu w Krakowie oceniam cię wtedy, gdy obraz, w Paryżu uznany za arcydzieło, powróci.

— Hrabia robisz nam krzywdę — odpowiedziała matka Izę tonem wymówki.

— Tak małe kółko — odparł hrabia — jak nasze, nie może stanowić nawet wyjątku. Zwrócił się do malarza.

— Miałeś jednak ułatwione zadanie, i to zmniejsza twoją zasługę w moich oczach. Komu udało się zdobyć tak świetny model — ukłonił się Izę — ten zyskał już połowę.

Pocichu do salonu wsunął się pan Piotr.

— Są to zwyczajne komuny grzeczności, które hrabia szafujesz — odezwiała się tonem obrazzonej dumy dziewczyna.

— Na honor, nie! — odparł wesoło hrabia. — Potrzeba było jednak wzroku artysty, aby zobaczyć wszystko to, czego my, zwyczajni ludzie, nie widzieliśmy. Te rozmarzone oczy, błyszczące zpoza tajemniczej, dla nas ledwo dostrzeżonej, mgły czoła, oświecone nietylko światłem, lecz również głębią myśli; usta pełne powagi w rysunku z cieniem łagodnego uśmiechu mądrości. Postać cała.... Pani się lękałaś, aby nie być mieszczką z szesnastego wieku?...

— Ależ nie, nie obawiałam się.

— Gdy tymczasem widzimy na obrazie królową, a podobieństwo nie na tem nie traci.

Hrabina spojrzała dobrośliwie na pana Piotra. Pan Piotr skłonił się, jak tryumfator, korzający się tylko przed majestatem hrabiny.

— Podaj mi hrabia rękę i sprowadź mnie — odparła żartobliwie Iza. — Zdaje mi się, że jestem na tronie, obsypywana komplementami.

— Gdy tymczasem znajdujesz się pani wśród przyjaciół nauczonych przez artystę patrzeć na ciebie: a ponieważ za wzrokiem idzie dusza, więc i ce nie cię....

— A zatem jeżeli zostałam odkrytą i pokazaną światu, przez mistrza, dzięki ci! — wyciągnęła rękę do artysty i nie bronila się, gdy przycisnął ją do ust.

Hrabina zmarszczyła brwi, panu Piotrowi serce biło ze strachu, wąskie usta Klarci rade były wygiąć się do uśmiechu, gdyby nie siła woli ich pani.

— Mistrze szczęśliwi! oni posiadają przywileje....

— Przyjaciółom ich należy się wdzięczność i uznanie, choćby dlatego, że są natchnieniem mistrzów. Mistrze zbierają laury, oni zostają w cieniu. — Wyciągnęła rękę do hrabiego.

— Są jednak chwile, w których bywają sowskie wynagradzani — odparł hrabia, całując rękę dziewczęcia.

Hrabina zamieniła spojrzenie z panem Piotrem. Pan Piotr uczucia strachu i grozy wpadł w upojenie radości.

— Izia jest zręczniejsza, niż sądziłam — pomyślała hrabina. — Manewr był wyborny i dobrze przeprowadzony. Gra świetnie się rozwija.

Na progu salonu stanął białowłosey, wystrzyżony kamerdyner, jako marszałek dworu przyzywany do pałacu w chwilach uroczystych. Głosem drżącym, lecz jeszcze pewnym siebie, wezwał do obiadu.

Hrabina podała rękę hrabiemu, Iza artyście, pan Piotr zbliżył się do Klarci.

— Wszystko idzie wyśmienicie — szepnął jej.

— Dzięki panu — odpowiedziała Klarcia.

Pan Piotr uwierzył w szczerść słów Klarci, a nie widząc wśród zaproszonych doktora, tryumfował, uważając się w duchu za przyszłego niewolnika hrabianki. Nagroda ta należała mu się, w jego przekonaniu, za miłość i poświęcenie dla rodziny i dyplomatyczną zręczność.

IV.

Portret skończony.

— Wszystko?

— Aż do podpisu i daty, laserunku i ram. Po umieszczeniu go w ramach zyskał na skupieniu i całości.

— Jesteś zadowolony?

— Pierwszy raz w życiu. Rozrzuciłem kwiaty dokoła dziewczyny. I zdaje mi się, że woń ich upaja ją.

— Tak, jak ty jesteś upojony dziewczyną.

— Proszę cię o wielką łaskę.

— Rozkazuj.

— I nie odmówisz mi?

— Nie będziesz żądał niepodobieństw.

— Nie wiem, czy żądania moje będą dla ciebie podobieństwem lub nie.

— Przekonamy się. Śmiało do dzieła.

— Oświadczyć mi o dziewczynę matce.

Hrabia się cofnął, wpatrując się w artystę.

— To cię tak dziwi?

— Przeraza nawet. Wyjechałeś z kraju prawie dzieckiem. Nie znasz jego stosunków, nie znasz naszej arystokracji, jej przesądów.

— Być może, lecz to wiem, że kocham i mam wzajemność. Poruszę ziemię i niebo, a mieć ją muszę.

Hrabia spokojnie słuchał, wpatrując się w ożywioną twarz artysty.

— Wychowany w świecie wolnej myśli, nauki, postępu, w świecie, w którym rozum i talent stanowią jedyną arystokracją, nie masz pojęcia, co znacza w wychowaniu człowieka przesady.

— Nie wiem, czy mam pojęcie lub nie, to tylko wiem, że kocham i mam wzajemność.

— Słyszałem już o tem mój drogi. I ja również cię kocham i dlatego nie chcę cię narażać na upokorzenia. Aby ci dać przykład siły przesądów,

powiem jednemu tobie.... Czasami i mnie się zda-
je, że ty jesteś jakąś niższą istotą względem mo-
jej wielkości. Jeżeli przesady wywierają taki
wpływ na mnie, dla którego sztuka jest bogiem,
przyjaźń najrozkoszniejszym z uczuć, a filozofia
religią, to cóż dopiero mówić o ludziach z mojej
sfery, dla których odziedziczone stanowisko, ty-
tuł i bogactwo są wszystkim!

— To, co mówisz, jest bezzaprzeczenia prawdą,
lecz są wyjątki.

— Wątpię, aby hrabina należała do wyjąt-
ków.

— Ja zaś, przeciwnie, ja nie powinienem wąt-
pić. Przyjmowany byłem przez matkę z uprze-
dzającą grzecznością, jej uwielbienie dla sztuki
jest szczere. Zostawiano nas, mnie i Izę, samych.
Czasami była z nami Klarcia, a wtedy spała, lub
udawała, że śpi, aby nam nie przeszkadzać.

— Z tego wszystkiego, co mówisz, zaczynam
się domyslać, jako znający mój świat, jednej
rzeczy.

— Słucham.

— Sprawa malowania portretu była siecią za-
stawioną na mnie.

— Mylisz się — zawołał artysta. — Iza...

— Iza — przerwał hrabia — nie należała do gry.
Iza, jak również i ty byliście ofiarami. Ty, jako
mój przyjaciel, stanowiąc magnes ciągnący mnie
do domu hrabiny, portret był idea, w imię której
wolno mi było przychodzić, kiedy mi się podoba-
ło, bez budzenia w mej duszy obaw i skrupułów.
Piękność Izę miała dokonać reszty.

— Piękność jej dokonała cudów. Dziwię się,
jak się to stało, żeś się w niej nie zakochał.

— Może dlatego, żeś ty się zakochał — odparł
hrabia wesoło.

— Nie kochać tego dziewczęcia? Nie pojmuję
ludzi, którzy....

— Nie szaleją, jak ty, i nie każą drugim szaleć.
Radziłem ci ucieczkę: nie usłuchałeś.

— Czy i Izę uważasz za szaloną?

— Młode dziewczyny, oddając serca, tracą zwy-
kle głowy: i to jest dowód więcej, że Iza nie na-
leżała do gry.

— W takich warunkach odmawiasz mi?

— Nie, lecz tylko ostrzegam. Po cóż?....

— Kazała mi prosić cię, abys się rozmówił
z jej matką.

— Idę — zawyrokował poważnie hrabia — lecz,
dzieci, wy się ludzicie. Idę i tem składam dowód
wielkiej odwagi i wielkiej przyjaźni.

— Portret skończony, powód do częstych wi-
zyt upada. Powinien się oświadczyć i musi się
oświadczyć, jeżeli jest uczciwym człowiekiem.
Godzinami przesiadywał w naszym domu, obsy-
pywał Izę komplementami... Niepodobna, aby
się inaczej stało. Dotąd zawsze na stawce życia
wygrywałam....

Pan Piotr z salonu wszedł pocichu do budoaru
hrabiny.

— Prześlizgnij, cudowny, podobieństwo wiel-
kie, robota delikatna, a jakie ramy! Takich ram
nie widziałem w życiu. Służący mój, który żyje
w przyjaźni z lokajem malarza, mówił mi, że
ramy umyślnie podług rysunku sprowadzone
z Wiednia.

— Kochany przyjacielu — przerwała hrabina —
myśmy zrobili wszystko, co do nas należało.

— Wszystko — powtórzył pan Piotr uroczy-
ście. — Pani hrabina dawała dowody wielkiej dy-
plomacji i rozumu stanu.

— Reszta w rękach Opatrzności.

— Bóg dla dobrych jest dobry — wygłosił pan
Piotr z namaszczeniem.

— Czasem ich doświadczają. Powiedz mi, tak
z ręką na sercu, czy hrabia jest zakochany?

— Do szaleństwa! — zawołał pan Piotr — przy-
najmniej takie robi wrażenie. — I gdyby był arcy-
księciem, musiałby się zakochać. — Porównanie to
w oczach pana Piotra było szczytem porównań.

— Od samego rana mam przecucie, że dziś
przyjdzie. Izę z Klarcją wyprawiam powozem
do księżny.

Pan Piotr zrozumiał, że należy się pożegnać i
wyjść.

— Jestem pewny, że dziś przyjdzie, musi
przyjść — dodał z mocą, ucałował rękę i wy-
szedł.

— Musi przyjść — powtórzył na ulicy i tak
był pewny swego, że postanowił czekać póki go
nie zobaczy.

Rozpromieniony, widząc swe dzieło na ukoń-
czeniu, kroczył wspaniale tam i napowrót obok
kamienicy hrabiny, jak żołnierz na warcie.

— Dwa śluby jednego dnia — z rozkoszą wracał
do swych marzeń. — Muszę to przeprowadzić; hra-
bina mi nie odmówi. A potem, potem przy pro-
tekcyi takiego pana, jak Odrzykoński, spryście
Klarczy, wdzięczności Izę, zdobędzie się szambe-
laństwo.

Rozmarzony, spostrzegł o kilkadziesiąt kroków
na przeciwległej stronie ulicy hrabiego. Zdawało
mu się, że jest smutny i zgnębiony, szedł zamy-
ślony, z pochyloną na dół głową.

W chwili, gdy się mijali, pan Piotr uklonił się
ostentacyjnie, lecz hrabia nie widział ukłonu.
Chciał biec do niego, dodać mu otuchy, powie-
dzieć, że czekają na niego, spodziewają się... lecz
nie śmiał zaczepić przyjaciela Cesarza.

— Odwagi, odwagi — szeptał patrząc za nim. —
Pamiętaj, że nie tylko własne, lecz i losy Dwor-
kiewicza dzwigasz na swych hetmańskich bar-
kach.

Hrabia zniknął w bramie.

— Stało się — rzekł pan Piotr, westchnął, jak
gdyby mu kamień spadł z serca, uśmiechnął się,
zatarł ręce, wpadł do Rudolfigo, wypił kieliszek
madery i, aby radości swej dać folgę, poszedł szu-
kać przyjaciół i znajomych. Uczuł nieprzepartą
chęć zwierzeń.

Hrabina, wzruszona, spotkała swego gościa w sa-
lonie. Uczuł drżenie jej ręki i to go onieśmie-
liło.

Zaproszony, usiadł na fotelu zaszczytanym przez
znakomitości rodu. Hrabina umieściła się na ka-
napie obok niego i rozrzucona układała w du-
chu odpowiedź pełną głębokich zwrotów i tkli-
wych wyrażen na cześć rodu Odrzykońskich i tra-
dycyi.

— Przychodzę w ważnej missyi i boję się —
zaczął hrabia drżącym nieco głosem.

— Odwaga wrodzie Odrzykońskich była pierw-
szą ich cnotą — odparła serdecznie.

— Na placu boju; dyplomata, niestety, nie
byli.

— Porzućmy więc dyplomacyę — podała mu rękę,
którą hrabia w zakłopotaniu uściśnął.

Nastała długa i denerwująca dla obojga chwila
milczenia.

— Masz we mnie, kochany hrabio, wiernego
sprzymierzeńca. Kochałam twoją matkę, uwiel-
białam jej dobroć i rozum.

Hrabia zrozumiał niebezpieczeństwo i, chcąc
się z niego wydobyć, przerwał:

— Przychodzę w sprawie mego przyjaciela.

Hrabina zbłądła.

— Jak również — dodał ciszej — w sprawie
córkę pani.

Wargi hrabiny zaczęły drżeć, oczy zabłysły
złowrogim gniewem. Należało skończyć od razu
z błyskawiczną szybkością, lub uciec.

— Przyjaciel mój artysta pierwszorzędny,
szlachcic, jeżeli o to idzie, zamożny, jeżeli i ten
szczegół jest potrzebny, człowiek wielkiej przy-
szłości i sławy....

Przestał, brakło mu tchu, hrabina patrzyła
szklanemi oczyma.

— Kocha córkę pani i ma wzajemność.

— Zaprzeczam panu — przerwała głosem ochry-
płym z gniewu i oburzenia. — Jeżeliś przyszedł
umyślnie ubliżyć mi, to przynajmniej szanuj cześć
mego dziecka i nie rzucaj na nie potwarzy!

Hrabia powstał.

(Dalszy ciąg nastąpi).

PRZEGLĄD TEATRALNY.

LXIII.

My się kochamy! komedia w 5 aktach, Edwarda Lubow-
skiego z konkursu Wojciecha Bogusławskiego, przedstawiona
poraz pierwszy w Teatrze Rozmaitości d. 1 Lutego 1887 r.

Drugą już komedią p. Lubowskiego, z dwóch
nadesłanych na konkurs przeszłoroczny, wysta-
wił Teatr Rozmaitości.

O pierwszej p. t. *Oszaczony*, osnutej na stosun-
kach galicyjskich, okoliczności mówić mi tu nie
pozwoliły, a żałuję tego szczerze, gdyż przed u-
tworem tym musiałbym postawić znak absolutnie
dodatni, tyle w nim dostrzegłem dobrej satyry,
wyrazistych charakterów i zajmujących momen-
tów w u dramatyżowanej przygodzie. Niech ta spó-
żniona wzmianka wypłaci przynajmniej pro-
cent od kapitału należnego autorowi uznania.

Przy sposobności poczuwam się do obowiązku
wspomnienia także i o *Naszych zięciach*, komedyi
p. Kazimierza Zalewskiego — również w swoim
czasie, z powodu wielkich zajęć, które mi w spra-
wozdawczych czynnościach moich przeszkodzi-
ły — nie wprowadzonej do niniejszej rubryki. Ko-
medya ta porusza stosunki zapewne jeszcze nie
powszechne w naszym życiu obyczajowem, ale
w niektórych warstwach społecznych bardzo już
ważne, przedstawia bowiem zgangrenowanie cha-
rakterów męzkich pod wpływem lekkiego życia
i urokiem wielkich posagów. Głównie w tej ko-
medyi podobała mi się bezstronność, z jaką autor
tezę swoją przeprowadził, przypuszczając możli-
wość uczciwych zamiarów w szlachciu, biorącym
żonę ze świata bankierskiego, a rzetelnych znówu
uczuci w kobiecie do tego świata należącej. Wpra-
wdzie jest tam trochę ulubionych p. Zalewskiemu
wzorków, ale w ukształtowaniu charakterów i
układzie wydarzeń przeważa strona typowości, —
w której kopiowanie już nie wystarcza.

My się kochamy! — samym tytułem już objawia
swe założenie. Nie jest to wszakże temat *Naj-
serdeczniejszych*; w komedyi p. Lubowskiego wi-
dzimy zawistnych lub niedoleźnych. Bohater
Liwski, przedsiębiorczy finansista, kość z kości,
i krew z krwi naszej, — jest człowiekiem tak wiel-
kiej prawości, że nawet go podejrzewać można o to,
czy, biorąc się do operacji finansowych na wiel-
ką skalę, nie przecenił sił swoich, czy ma to uzdol-
nienie, które już nie w głowie, ale w woli pra-
ktycznej tkwić musi, aby mogło być rzeczywistem.
Jest on przytem bardzo ambitnym i dumnym:
odrzuca nawet pieniądze przyszłego swego teścia,
któreby go od ruiny ocalić mogły, odrzuca wy-
ciągającą się do niego rękę wroga finansowe-
go, którego przedtem powalił; kobiecie, która mu
świertelną krzywdę wyrządziła, podejrzaniem
niestałości w uczuciach a chciwości na posag, nie
przebaczając już tej winy, nawet gorącemi łza-
mi oblanej, i żegna ją najstraszniejszym wyrazem
mowy ludzkiej „Nigdy!“ W tem wszystkim znać
szlachetny charakter, ale przytem i dziwnie ja-
koś idealistyczną finansowość; nie znać zaś już
nawet i charakteru, kiedy tęsam człowiek, który,
będąc zanadto szlachetnym, a za mało finanso-
wym, woła, że dość już naborykał się z dobrymi;
pójdzie teraz do złych: i rzeczywiście idzie do te-
gosamego Holfeinda, którym pierwiej pogardził.
Dobre to było dla rozkapryśzonej kobiety, ale nie
dla wytrawnego człowieka bez skazy, przez pierw-
sze cztery akty sztuki postępującego dyamentow-
wą drogą podniosłej bardzo etyki.

Co w tym Liwskim oprócz złamania się jego
uderza, to brak wszelkiej interessowności w przed-
sięwzięciach, do których go nikt przecież nie
zapędzał. Nawet szlachetny ideolog, chcący ro-
bić wszystko dla kraju, a nie dla siebie, musiałby
właściwie w imię takich dążeń swoich przywią-
zać się do mienia, marzyć o zarobkach, kochać
grosz. W Liwskim takiej interessowności, ener-
gii, praktycznego rozsądku ani śladu. Mógłby
bohater przez ożenienie się uczciwie z kobietą,

która go była warta, wybrnąć z sidła zastawionych przez zawiść i chęć zemsty; mógłby dojść do osobistego szczęścia: on woli wyciągnąć rękę do Holfeinda i pracować na wierzycieli swoich; pobudka zapewne szlachetna, ale obawiać się potrzeba, czy w takiej spółce nie starł się, już poza sztuką, jego charakter, czy nie rozwinęła się pospolita chciwość, już nie dla dobra wierzycieli, dla świętego obowiązku, ale dla napelnienia własnej kieszeni?

Wobec tego braku praktyczności w idealnym finansieście powątpiewa się o jego zwycięztwie nad Holfeindem, hrabią, Kręckim *e tutti quanti*, które się jeszcze przed sztuką dokonało, i daje kanwę I jej aktowi. Zbyt tendencyjnie autor skierował wszystkie myśli i wszystkie uczucia obecnych na ten jeden moment, zwycięztwa Liwskiego, i na samą jego osobę, a zaniedbał ożywienia towarzystwa rozmową, któraby się naiwnie, na podobieństwo życia, rozwijała. Dowcip, humor, złośliwość, zawiść, nikczemne instynkty, ciekawość, szlachetne uczucia, rozum i sprawiedliwość—wszystko mogło się tu było ułożyć w kwiecistą łąkę, po której wzrok widza tak zawsze mile wędruje. Wprowadziwszy na scenę z piętnaście osób, autor miał zadanie bardzo trudne, ale sam je sobie postawił, sam je zatem rozwiązać, i dobrze rozwiązać, miał obowiązek. Od chwili koniecznego podania ręki nieznosnej babie Skrzeczowej, wszystko to, co się dzieje w akcie I, jest już niepotrzebne. W akcie II znowu i sami hrabiostwo Karolowie i ich goście są dziwnie naiwni, sadzając panienkę już w długiej sukni o kilka lokci od siebie w tymsamym pokoju, aby poprowadzić rozmowę—w tajemnicy przed nią. Był to środek do zdradzenia intrygi, ale—przyzna nam to autor—środek nie najszcześliwszy. Ulubione p. Lubowskiemu podawanie listów i liścików gra straszliwie obszerną rolę w nowej jego sztuce, lecz już tylko dla samego humoru, bo nawet *quod pro quo* w zamianie listów obojga Skrzeczów wcale na bieg wypadków nie wpływa: rzeczywistą intrygantką jest Blincka, rzeczywistą intrygą pokazanie dawniejszego listu Liwskiego dzisiejszej jego narzeczonej, pannie Natalii Murskiej. Po akcie IV, zakończonym bardzo tragicznie, czuł autor potrzebę rozjaśnienia nieba nad komedią i dodał jeszcze akt V, ale sam ten akt nic już nie dodaje do treści sztuki, do jej charakterów, do tematu i rozwiązania, i jest zupełnie zbędnym. Wprowadzenie postaci główniejszych pod koniec aktu IV byłoby lepiej zakończyło sztukę. Akt V odznacza się nowością miejsca: jest niem poczekalnia na stacyi drogi żelaznej. Wypychanie trzech żydków, którzy tu niewłaściwie się wdarli, rozśmiesza paradyz.

Najdramatyczniejszym, ale też i najmniej komicznym, jest akt IV. Stajemy tu już wobec tragedji sere ludzkich, wstrząsającej do głębi. Chytraść niekczemnicy, boleść szlachetnej kobiety, pokutującej za jedną chwilę uniesienia, nie-miłosierdzie dumy, która mści się za zwątpienie o sobie—wszystko to, silnie w rysunku i kolorycie trzymane, sprawia wrażenie poważnej, uczuciowej, szczerze-ludzkiej dramatyczności. Scena, ta chociaż wykraczająca z karbów komedji, zaszczyt autorowi przynosi; podobnie głęboką wprowadził Lubowski do jednej z dawniejszych swoich komedji, do *Przesądów*: tu i tam porusza widza. Szczerze też, mimowolnie złożyły się ręce do okłasków po akcie IV—tym nowej komedji: klaszali wszyscy, i mężczyźni, i kobiety, i starce, i młódz, bo było za co. Teraz dopiero autor, przywołany—otrzymał od publiczności wyraz rzetelnego uznania. Przy całej wszakże wartości aktu IV-go, przy wyrazistości sceny między Liwskim a Natalią, nie mogą ukryć jednej wątpliwości, mianowicie: czy rodzaj zemsty, jaki obiebra Natalia, przyjmując przed zerwaniem z Liwskim rękę niekochanego przez siebie Kręckiego, nie był stosowniejszym dla charakteru mniej ześrodkowanego, mniej głębszego, mniej rozrzucającego się w świecie, niż charakter narzeczonej finansisty-ideologa? Do takich nagłych porywów sposobniejsze są istoty obdarzone silniejszym a nieokiełznanym temperamentem, bardziej potrzebą miłości dla miłości trapiące, silniej tęskniące do uzupełnienia się przez posiadanie,—

istoty—jednem słowem — w których więcej jest natury, niż charakteru. Może i panna Natalia Murska nie wylałuje się z pod swojego prawa psychologicznego, ale do takiego przeświadczenia poprzedni przejaw jej charakteru zamało dostarczył nam danych.

Lubowski z zamięłowaniem w komedjach swoich podnosi temat oszczerstwa i jego ofiar. W *Nie-toperzach*, w *Sądzie honorowym*, w *Osaczonym*—głównie motywa polegają na oszczerstwie, potwarczy, fałszywym oskarżeniu. W *Osaczonym* wynajdują nieprzyjaciela bohatera, Wrzeckiego, fakta bądź na nim samym, bądź na jego ojcu ciążące, które w surowych zarysach swoich istotnie wydają się prawdopodobnymi—i mogą przez sam rozgłos skutkować; wyjaśnienie ich oczyszcza i daje tryumf. W *My się kochamy!* nieprzyjaźń walczy bronią namowy odwodzącej od uczestnictwa w przedsiębiorstwach Liwskiego, posługując się przytem kłamstwem, które wszakże charakter swój zatrzymuje tylko do czasu rzeczywistego już zachwiania się finansowej potęgi. Na rozwiązanie dramatu mają te intrygi wpływ tylko przez to, że się Liwski dobrowolnie do Holfeinda skłania; gdyby był nie odrzucił ręki Natalii, a z nią miliona, i więcej, nie-by mu owi wszyscy Wyżelkowscy, Kręcocy, Skrzeczowie, hrabiowie Karolowie zaszkodzić nie byli mogli. Jako istność dramatyczna, Liwski ulega działaniu, nie tych wszystkich intryg, pokazujących, jak to my się kochamy, ale jednej, jedynej intrygi dawnej swej miłośnicy Blinckiej, która chwyta się ostatniego sposobu, aby małżeństwo jego zerwać.

Mnóstwo jest figur w tej komedji—zawiele, aby temat tak wysoce satyryczny, mógł się przedstawić w sposób czyniący zadość wymaganiom i spostrzegawczości życiowej i sztuki dramatycznej. W najnowszej komedji swojej Lubowski odrzucił dawniejszy styl, głęboko rzeźbiący, i wzięł łagodniejszą igłę akwafortową; ale zapomniał, że przy takiej metodzie tworzenia potrzeba z wielkim artystyzmem nadawać światła i cienie, bądź szczerzego, nieszarpiącego ludzi komizmu, bądź też poważnej, logicznie rozsnuwanej od początku, dramatyczności. Do galeryi typów przez niego wprowadzanych przybył może jeden tylko Wyżelkowski—pies legawy, podły, bez żadnych przekonań, ale za to z wielkim apetytem.

Inne postaci nie przedstawiają nic oryginalnego; Kotaszewskiemu szkodzi mała skala: jego indywidualność gra tylko na kilku klawiszach. Kręcki, Murski, Morawicz, hr. Karol, h-na Karolowa są bezbarwni. Fitoliski, stojący już poza żywą ludzkością, z założonemi rękoma, kiwający głową i ironicznie uśmiechnięty — potrzebowałby lepszego opracowania, aby mógł być typowym. Sam pomysł tej postaci dobry.

Potrzeba oddać artystom naszym sprawiedliwość, że starają się w sztukach oryginalnych robić co mogą najlepszego; nowa sztuka utwierdziła nas w tem przekonaniu. P. Leszczyński uderzył we właściwy ton; był poważnym, szlachetnym, umiarkowanym w głosie i ruchach: dobrze się wywiązał z roli Liwskiego. Jego narzeczoną, p. Marcello, postarała się o szczerze uczuciowe wyśłowienie, nie łatwe w akcie IV, nie rwała się nie krzycząc; w wyśłowieniu do Liwskiego, w zbliżeniu się ku niemu, czuć było majestat obrażonej królowej, jaką jest każda kobieta uczciwa, a nie-gęś, wpaństwie swych uczuć. Podzielimy zupełnie zdanie p. Bogusławskiego, że p. Ładnowski powinienby się pomieniać na rolę z p. Prażmowskim; pierwszy byłby lepszym, bo do głębszego wysłowienia zdolniejszy, Fitoliskim, drugi najzupełniej odpowiedziałby zadaniu Kręckiego. Pani Niewiarowska, p. Ostrowski w niewielkich rolach swoich (hr. Karolowa i Morawicz)—dowiedli wytrwałości i wprawy. PP. Szymanowski i Wolski (Kotaszewski i Wyżelkowski) — mieli, każdy, właściwy sobie styl. Pani Lüdowej rola Blinckiej szła gładko. P. Narkiewicz, artysta nowy, prowincjonalny, może z czasem nauczyć się chodu, ruchów, postawy i tonu prawdziwego hrabiego,—przynajmniej z tych tam hrabiów, którzy zasiadają w radach zarządzających.

Stanisław Krzeziński.

NOWINY PARYŻKIE.

Paryż 30 Stycznia 1887 r.

Horyzont polityczny. — Strach. — Proces anarchiczny. — Ograbienie hotelu pani Lemaire. — Nauczanie i oświata. — Przeładowanie. — Nauczanie młodych dziewcząt. — Sawantki bez chleba. — Walka Byków (Torreros) w Paryżu. — Pierwsze próby „Francillon”, nowej komedji Dumasa. — Charakterystyka i treść tej sztuki. — Jaka jest i jaką być mogła? — Straty w dziedzinie sztuk pięknych. — Śmierć rytownika Guillarda i malarza na szkło, Marechala. — Kilka szczegółów o pracach tych artystów. — Smutna śmierć poetki Adeli Esquirois.

Tylko, co się narodziło, a już pobrząkuje szabelką i ostrogami dzwoni. Jak stara Minerwa z głowy Jowisza, tak 1887 ze swojej kolebki, wyszedł w całym uzbrojeniu; powiada: nawet, iż ma w kieszeni takie fulminy, że matkę ziemię wysadzi w powietrze! Ludzie rozumni, politycy większej miary, uśmiechają się litośnie i powiada: że to są bajki—i strachy na lachy.... Być może, ale strzeżonego Pan Bóg strzeże. Jakkolwiek bądź, wszystko tu mówi o wojnie i wszystko się kurczy na samą myśl, że może przyjdzie do niej, kiedy rozum powiada, że nie!... Nie—a to dla czego? Bo nikt wojny nie chce—odpowiedź losyć podobna do prawdy. Ale na świecie bywa tak najczęściej, że rzeczy najmniej rozsądne, najmniej podobne do prawdy, najłatwiej się właśnie wydarzać zwykły.

Dwa są obozy w tej chwili. Większość, massa, z nosem zadartym w górę, psim męchem chwyta w powietrzu jakby prochowe śwędy—i powiada: „Wojnę czuję...” Mniejszość, ze spuszczonego nosem na kwintę, potrząsa głową—i pocichu szepcze: „Pokój—pokój ludziom dobrej woli...” Co będzie? zobaczymy. Jedno z dwojga niezawodnie przyjdzie, a wówczas, co za tryumf dla tych, których przepowiednie się sprawdziły!

Wicie już z kądem i jak, ta wojaczka przyszła do głowy nowo-narodzonemu. Nie można się dziwić, iż tylu ludzi uwierzyło, iż to nie przelewki.... I nie można mieć za złe nikomu, któremuś dzwoni na alarm. Kronikarz nasz wykroczyłby przeciw wszelkiej regule, gdyby na swych kartkach nie zapisał tych odbłyśków, co zdają się zwiastować burzę. Ale zapisawszy je sumiennie, przechodzimy do innej materji, bo życie nie zatrzymuje się ani na chwilę; pędzi straszliwym prądem unosząc z sobą wszystko: nadzieje, wypadki i ludzi.

Mieliśmy tu, jakby chwilę wzruszenia, jakby małeńki kłęb dymu—oznakę, że coś tleje pod spodem, coś nakształt tego, że tańczymy na wulkanie; tylko, że ten tajemniczy wulkan, jak owe w sąsiedztwie krymskiej Kafy, zamiast ognia, wyrzuca błoto. W jesieni, w części najzamożniejszej Paryża, korzystając z nieobecności właścicieli, zrabowano i podpalono hotel pani Magdaleny Lemaire. Nie znalazłszy ani wiele gotówki, ani drogich klejnotów, złodzieje potłukli, połamali, poniszczyli najpiękniejsze sprzęty, szczególnie w pokoju córki p. Lemaire, i niektóre obrazy, a w tej liczbie portret panny domu, przez Chapelin'a. Zaciekłość, z jaką niszczone artystyczne szczególne przedmioty, naprowadzała w początku na myśl, jakiejś osobistej zemsty, ale po bliższem zbadań przekonano się, że występnych należało szukać w tych szeregach, które się rekrutują z banitów wszystkich klas społeczności, w nieustannej wojnie z prawem i z tążsamą społecznością, której są wyrzutkami. Wkrótce też policja przytrzymała głównych sprawców tego zuchwałego zamachu, a tego przytrzymania o mało nie przypłacił życiem, ciężko raniiony przez hersztą, jeden z inspektorów policji tajnej.

Ostatni akt tej sprawy odegrał się przed sądem przysięgłych. Niejaki Duval, ślusarz z professji, wraz z pomocnikami zasiadł na ławie oskarżonych. Złodziej ten i podpalacz jest jednym z przewodców bandy anarchistów, zwanej: *Pantera z Batignolles*. A ponieważ posiedzenie sądu przysięgłych jest publicznem, wszyscy tu bracia Pantery pośpieszyli w tak znacznej licz-

bie, że pretoryum literalnie zastało zapchane anarchistami. Kiedy więc prezydujący siedział, zamknawszy rozprawy, zapytał według zwyczaju Duvala: „Czy ma co dodać na swą obronę?” ten, rzuciwszy okiem po zgromadzeniu — „Mam to powiedzieć, że nie złodziej, ale rebelizant — muszę jeszcze dodać, dla czego jestem anarchistą”, i dalejże prawić, jak i dlaczego są oni w wojnie ze społecznością, jak i dlaczego domagają się restytucji... „A grabież hotelu p. Lemaire jest to odebranie tego, cośmy wam dali w pocie czoła, jest to akt najwyższej sprawiedliwości.” A kiedy nakoniec prezydujący, odebrał mu głos i prokurator zażądał wydalenia z sądu Duvala, za jego gwałtowne pogroźki, do czego się sąd zaraz przychylił, natychmiast ze wszystkich stron sali dały się słyszeć okrzyki: „Niech żyje anarchia! niech żyje rewolucja socjalna.”

I razem tłum ten rusza ku pretoryum, z krzykiem i groźbą. A wśród nich żona Duvala wrzeszczy, domagając się, by jej oddano męża. Widząc taki obrót rzeczy, policja i żandarmerya, występują na scenę i zaczyna się w sali sądu przysięgłych prawdziwa walka. Naturalnie, że siła zostaje przy prawie; kilkunastu anarchistów, a w tej liczbie żonę Duvala, przytrzymano i odprowadzono do więzienia. Scena ta rzuciła popłoch, i izba sądowa i sąsiednia część gmachu zostały zajęte siłą zbrojną.

Wraca nakoniec spokojność i przysięgli po krótkiej deliberacji wychodzą na salę z potwierdzającym werdyktem, wskutek czego Duval, jako podpalacz i morderca, skazany zostaje na śmierć...

Ta zawierucha anarchiczno-złodziejska w trybunale zamąciła spokojność Paryżan, i na chwilę oderwała uwagę publiczną od polityki, aby ją zwrócić do tego, co się dzieje wewnątrz.

Dodać tu należy dla naszych czytelników, że p. Magdalena Lemaire jest to znakomita akwarelistka francuzka, której kwiaty szczególnie odznaczają się wielką doskonałością i świeżością rysunku i kolorytu. Jest to zresztą cała rodzina artystów. Ciotka pani Lemaire, mieszkająca wraz z nią w tym zrabowanym hotelu, jest to pani Herbelin, sławna bardzo, a może jedyna tu, miniaturzystka. Trzebaż było, aby tu gronko artystek, bo i córka pani Lemaire, jest równie znakomitą malarką, stała się ofiarą takiego zamachu. Utwoży tych artystek są bardzo popłatne, kradzież więc obiecywała złończynom płon obfity. — „Oszukała nas ta panie! — mówił Duval — a szczególnie powierzchowność tego pomieszkania; zdradzało ono taką zamożność, żeśmy się zdecydowali wykonać tu restytucję tego, co się stało pracą ludu, i co powinno wrócić do ludu...”

Ten ostatni akt, odegrany w sprawie czysto złodziejskiej, bo tak ją należy uważać, obroną ze starych anarchistycznych galonów, z powodu gwałtownych przemówień tego oratora od szubienicy, zatrzymuje uwagę na jednej z najważniejszych kwestii społecznych naszego czasu, na rozpoznaniu nauki i wiedzy. Duval jest jednym z owoców tego rozsądnika, urządnego z takim gwałtem i tak niezmiernym kosztem, a cała nauka jaką dano jemu i jego spółnikom z owej „Pantery”, służy na to, aby usprawiedliwić w oczach tłumu najprzewrotniejsze instynkta złej natury ludzkiej, a najwystępniejsze czyny przekształcić w pełne zasługi postępowanie... Łatwość wysłowienia i pewien rodzaj uprzedzającej wymowy są już w naturze Francuzów. Wiedzieliśmy o tem od czasów, pra-prastarych, bo już nam o tem powiada Cezar w swoich pamiętnikach o Wojnach Galijskich. Ale, ażeby zrozumieć, do jakiego to stopnia dojść może, potrzeba tak, jak się to nam często zdarza, posłuchać tego, co się prawi w pewnych zgromadzeniach ludowych. Nie przenosić, ale prawdziwie i rzeczywiście włosy wstają na głowie i człowiek pyta się siebie: czy to są ludzie o zdrowym rozumie, czy dom wariatów? Mimowoli podnosi się w nas głos tajemniczy, który nam powiada, że obrona droga jest zbyt szeroką, że ciężar jest za wielki na te bary, które go dźwigać mają.

Tę uwagę spotykamy wszędzie. Już dawniej, kilka lat temu, kiedy z taką skrętnością Ferry budował i wznosił na gwałt ten sztuczny budy-

nek nauki wyższej dla dziewcząt, ludzie zimniejszej rozważli, bezstronni, mówili, że to było zbyt szalone. Dziś widzieliśmy tego dotykane owoce. Oto z początkiem tego roku w samym Paryżu znalazło się 1.800 panien dyplomowanych, domagających się posad nauczycielek szkół, początkowych, a które, z braku miejsc, musiano odesłać z kwitkiem. Cóż się stanie z temi pannami, które w celu otrzymania tej posady możliwe i niemożliwe poniosły ofiary — i dziś są wobec nędzy!

Jesteśmy w chwili przejściowej. Kipimy w warze... a co z tego wyjdzie, Bóg jeden powie i wiedzieć może. Przecież to na co patrzymy, nie obiecuje nic dobrego dla kraju, który właśnie potrzebuje wszystkich sił swoich, aby nie uleść prądom, które mu zagrażają zewsząd.

Przejdźmy do weselszych rzeczy. Usiłowano zabawić publiczność wszelkimi sposobami. Z Nowym Rokiem chciało nowe wywołać rzeczy. I próbowano dawno zapowiadane urządzenie igrzyska, Walkę Byków. Po długich a długich rozprawach zatrzymano się wśrodku dwóch systematów: hiszpańskiego, który jest cały we krwi i w morderstwie nieszczęśliwych zwierząt, koni i byków, bo ludzie rzadko bardzo, i w bardzo szczególnym wypadku, narażają się na jaką ranę, i portugalskiego, który jest tylko udaniem, naśladowaniem tej walki, jak turnieje były niegdyś obrazem tylko zapasów wojennych; bo tu, żwierzęta wprowadzone na scenę mają rogi opatrzone w starannie urządzone elastyczne gałki, które łagodzą ich, choćby najsilniejsze, uderzenia.

Ten ostatni rodzaj igrzysk, z pewną jeszcze miejscową modyfikacją, praktykowany oddawna w południowej Francji, a szczególnie w Nîmes, wybrano, aby Paryżanom dać poznać tłumnie owe w Hiszpanii *torreros*. Zawsze więc na korzyść zalanych powodzą wyprawiano tu w hippodromie, tę sławną walkę byków. Cel wystarcza tu za wszystko. Po trzech przedstawieniach, które okryły prawdziwą śmiesznością tę nędzną trupę przybyłą z Gaskonii, gdyż biedne woły, z całą powagą i słodyczą właściwą wołom, ani chciały udawać zaciekleń andaluzyjskich byków — po trzech przedstawieniach, mówię, kiedy dobroczynnej skarzonka napelniała się już przeszło stu tysiącami franków, nagle z rozkazu władzy wyższej zamknięto *torreros*.

Abym pozostać przy igrzyskach i teatrach, powiedzmy zaraz, że zabawniejszą nierównie była i pozostanie sztuka Alexandra Dumasa Syna, pod tytułem: *Francillon*, co się popolsku, może przetłumaczyć na *Franiś*, powiedziane o kobiecie. Jest to jedno z tych poufałych przezwisk, jakie tu są w modzie w tym czasie — i gdzie często imionom żeńskim nadają męską formę. Powiadam sztukę Dumasa, bo tak ją nazwał sam autor. Czując, że właściwie, nie jest to, ani komedia, ani dramat, jak to zobaczymy zaraz. Ale chociaż nie ma ona wybitnej charakterystyki, jest to jeden z tych utworów, które są jakby przywilejem francuzkiej literatury, a w których dowcip, i niesłychanie zręczne cieniowanie wyrażen, zastępują to wszystko, na czem im zbywać może pod względem pomysłu i układu. W każdym rodzaju mogą się znaleźć dzieła i lepsze i doskonalsze w innych literaturach; ale pod względem właśnie tych sztuk teatralnych, bez rodzaju że tak powiem, w których fajerwerk dowcipu zastępuje wszystko i w gruncie bawi i zajmuje widza — co jest, zdaje się, rzeczą główną, — Francuzi są niezrównani.

Już Fenimore Cooper zauważył, że jeśli Francuzi są niezrównanymi aktorami w świecie, pochodzi to ztąd, że oni nawet w stosunkach prywatnych całe swe życie lubią odegrywać komedią. Zostając więc prawdziwymi aktorami, przynoszą na scenę to, co jest jakby wrodzonym talentem; kiedy tymczasem dla wszystkich innych potrzebne są niezmiernie wysiłki, jeśli chcą przyjść do tego, aby udawać coś, co nie jest, ani w ich naturze, ani w usposobieniu.

Oile to jest prawdziwe co do sceny teatralnej i co do aktorów, o tyle jest rzeczywistością co do kompozycji dzieł sztuki dramatycznej, szczególnie komedii, gdzie lekkość pióra, bystrość spostrzeżenia, szyk rozmowy i błyskotki dowcipu,

są niezaprzeczonymi rękojmiami powodzenia Owóż, jeżeli kto we Francji, w dzisiejszej chwili, posiada te przymioty pisarskie, i w najwyższym stopniu francuzkie, to Dumas Syn. W ostatniej sztuce, o której tu mowa, Dumas sypie dowcipem, jak z worka, ale to tym dowcipem, lekkim, powietrznym, co jak zapach kwiatów, nieujęty i nierozdzielny, wraz z kwiatem umiera.

(Dokończenie nastąpi).

DZIEDZICZNOŚĆ PSYCHOLOGICZNA ¹⁾.

Dziedziczność przejawia się w rodzie ludzkim w ogólnej budowie ciała i w pojedynczych jego częściach, prócz tego przejawia się w ruchach, chodzie, rysach twarzy, dźwięku głosu (mowie).

Z rodziców na dzieci przechodzi typ: budowa zewnętrzna, rysy twarzy, kształty i kolory.

U starożytnych Rzymian były rodziny, które od pewnych właściwych spadkowych cech nazywano *Nasones*, *Labeones*, a co oznaczałoby u nas *Nosowicze*, *Wargowicze* i t. p. Prócz tego dziedzicznym jest temperament, charakter, idiosynkrazja. Dziedziczną jest także długowieczność i krótkowieczność. Komuż nie są znane fakta, że w pewnych rodzinach pokolenia dosięgają późnej starości, w innych znowu umierają w bardzo młodym wieku. Dziedzicznym też bywa bardzo często kalectwo i potworność, jak głucho-niemota, i idyotyzm, pewne niedokładności w uformowaniu pojedynczych członków i organów.

Prócz tego dzieci odziedziczają po rodzicach pewne usposobienie do chorób, któremi są skrofule, suchoty i t. p. Zazwyczaj synowie odziedziczają usposobienie do chorób, które przechodzili ich ojcowie, córki zaś choroby matek. Zdarza się, że choroba pojawia się dopiero w trzecim lub nawet w czwartym pokoleniu, nazywa się to (*atavismus*) podobieństwo do przodków a nie do rodziców.

Przechodzimy teraz do właściwego przedmiotu t. j. do dziedziczności psychologicznej.

Dla dokładniejszego zrozumienia w jaki sposób człowiek dziedziczy po rodzicach pewne właściwości umysłowe, wypada przyjrzyć się na chwilę zwierzętom, mianowicie, jak u nich z jednego pokolenia na następne przechodzi tak nazwany instynkt.

Pod instynktem u zwierząt rozumiemy pewną czynność, którą one wykonują automatycznie, prawdopodobnie bezwiednie, a która skierowana jest do dopięcia pewnego celu określonego ich ustrojem i gatunkowymi właściwościami, lub, jak go Hartmann określa, „jest to czynność prowadząca do pewnego celu bez świadomości tego celu.”

Instynkta u zwierząt są wrodzone i nabyte, inteligencja zaś nabywa się skutkiem doświadczenia. Instynkta są doskonałe od samego powstania swego; i tak: kaczka wysiedziana przez kurę idzie prosto na wodę, wiewiórka, nie znając zimy, robi zapas orzechów, ptak zrodzony i wychowany w klatce, gdy go puszcza na wolność, zbuduje sobie gniazdo zupełnie podobne do gniazda rodziców swoich, z tychsamych materiałów i tejsamej formy.

Gdy rozum stąpa po omacku, błądzi i poprawia się, instynkt posiada mechaniczną pewność, działa na podobieństwo maszyny. Instynkt wrodzony nie wzrasta i nie zmniejsza się, nie zyskuje i nie traci, — jak to się dzieje z rozumem. Otoż tak pojęty instynkt jest bezwarunkowo dziedzicznym i taka dziedziczność zaprzeczyć się nie da.

Trwałość i dziedziczność przechodzenia instynktów jest tak wielką, że zauważyć można w niektórych wypadkach przeżywanie w ciągu wieków tych warunków bytu, do których one zostały zastosowane. Niektóre zwierzęta po długim peryodzie oswajenia zachowują pierwotne przywy-

1) Według Th. Ribota.

knienia. U osła np. widzimy wielką niechęć do przepławiania się przez wodę i wielką przyjemność tarzania się w kurzu; jest to następstwem pierwotnego jego życia w pustyni, wielbłąd od dawna przyswoił również niechęć do przepławiania się przez wodę. Pies, chociaż obficie karmiony, zagrzebuje, jak lis, resztki pokarmów, jagnięta i kozłeta lubią bawić się choćby na najmniejszym pagórku, w czym niepodobna niedojrzeć ich alpejskiego pochodzenia i przywyknień. Jest to przeżycie (la survivance) dziedzicznego przywyknienia.

Niektórzy przyrodnicy zauważyli i w człowieku trwałość pierwotnych instynktów: dla okazania pogardy odkrywamy kły, dla wyrażenia złości—cały szereg zębów. Silny wydech, jaki daje się słyszeć w chwilach wściekłości — odpowiada temu, co w podobnych razach czynią dzikie, drapieżne zwierzęta.

Jak widzieliśmy z powyższego, nie podlega najmniejszej wątpliwości, że instynkta wrodzone przechodzą z pokolenia na pokolenie; daleko ciekawsza jest kwestya, którą rozpatrzyć zamierzamy: czy instynkta nabyte są również dziedzicznymi?

Instynkt wrodzony bywa zmiennym, często zależnym od gruntu, klimatu i położenia; i tak bóbry nie zawsze jednakowe stawia domki, raz wznoszą się one nad powierzchnię, kiedy indziej znowu są pod powierzchnią ziemi; widzimy także pewne zmiany w budowie gniazd, które zależnymi są od powyższych przyczyn. Niemalby wpływ wywiera na instynkta zwierząt człowiek, który je nagina do swoich potrzeb.

Nie będziemy nad tem bliżej się zastanawiać, a zobaczymy na przykładach, czy instynkta owe nabyte są dziedzicznymi.

Leroy zauważył, że lisy młode, które dopiero wychodzą z nory, w okolicach, gdzie się odbywa łepienie starych lisów, są owiele ostrożniejsze, aniżeli w miejscowościach, gdzie siolek nie zastawiają, pokazuje się, iż dziedziczą one po rodzicach instynkt strachu. Ażeby zwierzę ośwoić, potrzeba czterech pokoleń dla przeszkodzenia powrotowi dzikich instynktów. Dokładnie bardzo widzimy to na koniach: i tak, tabunowe dają się daleko trudniej ujeżdżać, aniżeli te, które zrodzone zostały w stajniach.

Z początku ulaskawienie zwierząt musiało bardzo wiele trudności przedstawiać; byłoby tak i nadal, gdyby w pomoc nie przychodziło dziedziczenie instynktów nabytych.

Niektóre zwierzęta, posiadające prócz instynktów pewną inteligencją, dziedziczą tę ostatnią po przodkach na jeszcze wyższym stopniu: często bardzo młode psy, które po raz pierwszy wyszły w pole, „stają do zwierzyny“ daleko lepiej, aniżeli ich wytreściani przodkowie; inne znowu przejmują zdolność do ratowania tonących, a jeszcze inne do pilnowania trzody.

Zanim przystąpimy do szczegółowego rozbioru dziedziczności psychologicznej, w ścisłym znaczeniu tego wyrazu, wypadła, pokrótce przynajmniej, przyjrzyć się organom, a raczej zmysłom naszym, oile te są dziedzicznymi.

Głównym organem dotykania jest ręka, podlega ona wielu dziedzicznym zmianom. Jest rzeczą dowiedzioną, że ludzie, których rodzice prowadzili czynny żywot, mają wielkie ręce, potomkowie zaś tych, którzy przez kilka pokoleń nie oddawali się pracy ręcznej, mają małą rękę. Lucas mówi, że rodzice przekazują wszelkie szczególności dotyku dzieciom, i tak, u jednych rodzin spotykamy nadzwyczajną nadczułość, tak, że najlżejsze uszkodzenie sprawia im kolosalny ból, kiedy inne znowu odznaczają się wielkiem stopniem na dotyk, lechtanie, ból i t. p.

Bywają pewne chorobliwe nadczułości skóry, które przechodzą dziedzicznie z ojca lub matki na dzieci; wtedy dotknięcie niektórych przedmiotów sprawia już nieprzyjemne uczucie, jak np. korka, jedwabiu, puszkę brzoskwiń. Znam panią, która nie może dotknąć się cukru rękami: matka jej również go się bez wstrętu dotknąć nie może.

Pod względem delikatności węchu, człowiek

bez kwestyi stoi niżej, aniżeli zwierzęta. Wiadomym jest fakt, że psy, zwyższywszy zapach skóry wilka lub niedźwiedzia, wpadają w niepokój a Gratiolet przytacza, że mały piesek dostawał konwulsji ze strachu, gdy mu pokazywano kawałek wytartej wilczej skóry. Czyż nie jest tu wyraźną dziedziczność pewnych uczuć związanych z wrażeniem węchu? W dzikich rasach ludzie mają węch bardzo delikatny; są oni w stanie, kierując się zapachem, iść trop w trop za nieprzyjacielem lub za zwierzęciem. Wydelikatnienie to węchu, jest u Negrów dziedzicznym, za jego pośrednictwem na Wyspach Antylskich Murzyni odróżniają ślady białego człowieka od śladów czarnego.

To, że smak jest również dziedzicznym, zdaje się, niepotrzebuje dowodzenia; są całe rodziny, które nie mogą znieść smaku sera, inne znowu mają wstręt do mięsnych pokarmów, a jeszcze inne do wody.

Co do wzroku, to wszystkie jego nieprawidłowości są w wysokim stopniu dziedziczne. Prawie bez wyjątku z rodziców zezowatych, krótkowzrocznych i dalekowidzów rodzą się dzieci z podobnymi defektami. Bardzo wyraźnym dowodem dziedziczności i nieprawidłowości wzroku jest coraz bardziej rozwijająca się krótkowzroczność w klassach oddających się pracy umysłowej; po wsiach krótkowzroczność zdarza się wyjątkowo tylko, kiedy w bogatszych klassach procent jej ciągle wzrasta. Słepota wrodzona może być familijną: pewien ślepy żebrak miał 4 synów i jedną córkę, ślepych od urodzenia. U rytmików i zegarmistrzów katarakta zazwyczaj zaczyna się w dolnym i wewnętrznym odcinku soczewki, otóż Gałęzowski zauważył, że jeżeli u ich dzieci, które zajmowały się innym rzemiosłem, poczyną się formować katarakta, to zawsze w tamsam miejscu. Daltonizm, czyli niemożność rozpoznawania barw, jest również dziedzicznym.

Co do bystrości wzroku, to ta jest owiele wyższą u ludów dzikich, aniżeli u Europejczyków; że bystrość owa jest dziedziczną, dowodzi nam ten fakt, że Europejczycy zrodzeni i wychowani między dzikimi nigdy do takiej bystrości wzroku nie dochodzą.

Co do zmysłu słuchu, to dziedziczność w nim nie występuje tak wybitnie, jak to widzieliśmy w zmysle wzroku; nie ulega jednakże wątpliwości, że delikatność słuchu przechodzi z rodziców na dzieci, że z głuchoniemych rodzą się bardzo często głuchoniemi, albo z przytępionym słuchem. że pewne subtelności słuchowe, jak np. muzykalne ucho, są dziedzicznymi, to udowadnia 120 członków rodziny Bacha i chociażby nasz mały Józio Hoffmann.

* * *

Czy pamięć jest dziedziczną? Ponieważ pamięć nie wytwarza dzieł jak rozum i wyobraźnia ani wielkich czynów, jak wola, ponieważ nie podlega karze, jak namiętność; ponieważ medycyna się nią nie zajmuje, jak to czyni z chorobami umysłowymi: nie łatwo ją z tych względów uchwycić i wykazać jej dziedziczność dowodnie. Tych kilka faktów jednakże, które przytoczymy, zdaje się wiele za dziedzicznością pamięci przemawiać. Wiadomo, że idyoci nie posiadają pamięci albo bardzo ograniczoną, pamiętają tylko to, co im wielką przyjemność lub nadzwyczajną przykrość sprawia, a ponieważ idyotyzm jest na mniejszym albo większym stopniu dziedzicznym, stąd też przypuszczać należy, że i zdolność pamiętania jest spadkową. Odwrotnie znowu, u ludzi genialnych, obdarzonych wielką pamięcią, u wielkich artystów, którym także pamięć jest niezbędną, a z których, według przysłowia, „jabłko niedaleko pada od jabłoni“, rodzą się genialne lub z talentem dzieci, któreby bez odziedziczenia wielkiej pamięci były pozbawione tych przymiotów,—z tych względów, powiadamy, należy przypuszczać dziedziczność pamięci.

A teraz potrzeba zadać sobie nowe pytanie, mianowicie: czy rozum (inteligencja) jest dziedzicznym? Gdybyśmy mieli prawo wnioskować z dziedziczności powyżej rozpatrzonych niższych

form inteligencji, możnaby *a priori* zakonkludować, że rozum jest dziedzicznym. Nie mamy jednakże prawa wyprowadzać wniosków z mniejszego i rozciągać je na większe, z niższego na wyższe, i dlatego wypadła oddzielnie nad tym przedmiotem się zastanowić.

Mówiąc językiem zrozumiałym, należy nam zbadać ze strony logicznej i doświadczalnej: czy zdrowy rozsądek, geniusz, talent, dowcip, artystyczne, naukowe lub praktyczne zdolności są dziedzicznymi?

Logika czyli rozumowanie pokaże nam, że jest to rzeczą *możliwą*, doświadczenie zaś, że jest *istotną* (realną).

Poszukiwania nad naturą inteligencji oprócz się muszą na dwóch wnioskach; albo, że przyczyną jej jest organizm a ona skutkiem; hipoteza ta nazywa się materjalizmem; albo też, że ona jest przyczyną a wszystko istniejące jej skutkiem; jest to hipoteza idealistyczna.

Opierając się wyłącznie na rozumowaniu, zobaczymy, że dziedziczenie wyższych władz inteligencji nie sprzeciwia się tym hipotezom.

Niema żadnych trudności w wykazaniu tego na hipotezie materjalistycznej. Inteligencja jest bowiem funkcją (czynnością), której organem jest mózg, ten ostatni jest dziedzicznym tak samo jak serce, płuca i żołądek, a zatem i funkcja, którą on pełni musi być dziedziczną. Dziedziczenie fizjologiczne pociąga za sobą dziedziczność psychiczną.

Wszelka czynność umysłowa ma zawsze pewien skutek, pewien rezultat, trywialny lub wzniosły, zwykły lub nadzwyczajny, teoretyczny lub praktyczny, przeistacza się ona w utwór artystyczny lub przemysłowy, w dzieło naukowe lub poprostu w czynność życia zwykłego. Nie przypuszczamy, że inteligencja bywa przekazywaną w całej objętości z rodziców na dzieci, ale nie podobna zaprzeczyć, że się to odbywa w pewnej części, raz większej drugi raz mniejszej.

Jeżeli weźmiemy—mówi Candelle—syna wielkiego wodza i syna matematyka, i, jeżeli podobni będą do ojca, to wszelką pewnością twierdzić można, że pierwszy okazywać będzie zdolności do dowodzenia, drugi do rachunków, tak, że pierwszy z łatwością zostać może np. marszałkiem dworu a drugi buchalterem. Chociaż—powiada on także—przy szczęśliwej kombinacji pamięci, sądu i woli, człowiek może z powodzeniem pracować na wszystkich polach wymagających zdolności umysłowych. Tensam autor udowadnia, że w niektórych rodzinach pewna zdolność matematyczna, do łatwego rachowania, bywa zupełnie tak samo dziedziczną, jak bez dziedzicznego słuchu muzykalnego niepodobna kogós zrobić wirtuozem lub kompozytorem, tak samo bez dziedzicznej inteligencji do rachunkowości nie podobna wyuczyć szybkiego i łatwego oryentowania się w matematyce.

Historja nas naucza, że jedna z bardziej prostych form umysłowości, wyobraźnia, jest dziedziczną. Całe rodziny poetów, muzyków, malarzy, nie są rzadkością.

Najwybitniej widzimy to u muzyków, gdyż u nich, prócz dziedziczności psychologicznej, niezbędną jest fizjologiczną, t. j. muzykalne ucho, to samo i u malarzy, gdzie organ wzroku odgrywa bardzo ważną rolę; mniej wyraźną, jest dziedziczność u poetów.

(Dokończenie nastąpi).

List z Anglii.

W Styczniu 1887 r.

(Dokończenie).

Ciężką, najcięższą klęską Anglii jest obecnie to, że dla tłumów potrzebujących pracy, aby żyć mogły, zaczyna jej brakować, co wytwarza najpo-

tworniejszą pod słońcem konkurencją pracy kobiecej z pracą mężką, a przynosi korzyść tylko przemysłowcom, bo mogą zniżać zarobek robotnika dowolnie. Wprawdzie ci składają się ze swojej strony tem, że i ich podkopuje konkurencja — że muszą zatem produkować jaknajtaniej, aby istnieć. Smutną ilustracją tych stosunków jest właśnie bezrobocie robotników, zajętych wyrobem łańcuchów. Przeszło trzy tysiące ludzi, a w tem znaczna część kobiet, wyrabiających delikatniejsze łańcuszki — wszystko osiadłe w Midland, w okolicy Cradley-Heath, przeszło od pięciu miesięcy porzuciło pracę, która za 16 godzin najpilniejszego i bynajmniej nie lekkiego zajęcia przynosiła im 5 szylingów tygodniowo, tak, że musiano pracować na dobę godzin 18, aby wyżyć tylko, bo karmiąc się przeważnie chlebem. Położenie stało się nie wytrzymałm i biedaków ogarnęła rozpacz, ale bezrobocie, przeciągające się tak długo, wyczerpało wszelkie zapasy, bo choć wielka sympatya całej okolicy otacza nieszczęśliwych, choć właściciele domów nie pobierają od nich komornego, a wszystkie dzienniki zjednoczonych korporacji Trade Unions ogłaszają na nich składki, jednak wyżyć i jakotako przyszość wśród zimy taką liczbę ludzi — nie łatwo. Otóż sekretarz zjednoczonych rzemiosł Midlandu, Juggins, który jest najczynniejszym w niesieniu pomocy tej nędzy, piorunował w ostatniej swej mowie, mianej na prowincjonalnem zebraniu pomienionych spółek — przeciw pracy kobiecej!

Od chwili, gdy na rynku pracy znalazła się obok robotnika robotnica — przyszło obniżenie ceny i nędza jest niemal stałym stanem klas pracujących.

Niech kobieta i dziecko usunie się z kadrów robotniczych, niech — wedle praw ekonomii natury, trzyma się na miejscu swego przeznaczenia — u ogniska domowego: a wróci zakłócona równowaga stosunków. Właściciele fabryk nie będą przyznającym zarobku robotnika robić niezmiernych fortun, ale nie będzie wstrząsającej duszę ludzką nędzy tysięcy.

Dotykało już kiedyś pismo wasze tej kwestyi, za ekonomistą francuskim, Arturem Mangin, i wszystkie rządy usiłują też, oile można powstrzymać przez obostrzone przepisy fabryczne pracę kobiet i dzieci, w czem ekonomistę podpira moralista i socyolog.

Kwestye to bardzo smutne, i głęboko sięgające już w układ życia na Zachodzie; wy się tam strzeżcie, o ile zdołacie, przed niemi. Nie nazywajcie emancypacją kobiety wyrzucenia jej poza dom, poza rodzinę na pracę, bo wtedy to dopiero zaczyna się niewola, wtedy kładzie się na szyję kobiety jarzmo, do którego nie stworzyła jej natura. W Anglii ruch w tym kierunku jest obecnie bardzo silny i filantropia tutejsza zajmuje się tem z wielkiem przejęciem. Obok wspomnianego powyżej towarzystwa: „Society for Promoting Industriel Villages“, istnieją usiłowania wznowienia kobiecej pracy domowej: „Cottage industries“ w czem bierze udział wiele szlachetnych mężczyzn i kobiet. W Glasgowie był niedawno meeting, na którym system domowej pracy kobiecej, jakiego zaczynają używać w Irlandyi ludzie dobrej woli, był przedstawiany bardzo licznym słuchaczom przez znaną filantropkę, Ernestową Hard. Wykazała ona w słowach jasnych i zwiększonych jak łatwo jest przy dobrej woli i zamiłowaniu swego przedmiotu zaszczerpieć po wsiach przemysł domowy, w czem za wzór stawiała mówczyni Austrię, Czechy zwłaszcza. Za bytności swej w Czechach (w Karlsbadzie) została raz pierwszy uderzona obrazem tego, jak wielorako kobieta może pracować dla przemysłu w domu: haftując, wyrabiając koronki i passamantery, szyjąc rękawiczki, fartuszki, ozdoby bielizne, wreszcie malując na porcelanie, drzewie, kości, — rzeźbiąc kość i drzewo, co wszystko wykonywa kobieta tamtejsza dla przedsiębiorców na zamówienie. Zarobek tych robotnic jest bardzo mały, ale gdy się weźmie w rachunek to, że mieszkają one i stołują się u rodziny, jeszcze wypadnie im to lepiej, niż podwójna za pracę ich zapłata w fabrykach.

Słuchając M-rs Hard, myślałem o przemysle

hafciarskim wieśniaczek z okolic Ojcowa, o którym czytałem w waszem piśmie — myślałem, zali tam u was nie znajdzie się taka, jak ona kobieta — przejęta miłością bliźniego i miłością ojczyzny swojej? Toż u was rzecz potęguje się jeszcze względem bardzo ważnym: chodzi o nie wypuszczanie z ubożego kraju droższego, niż tu, grosza...

M-rs Hard udaje się z Glasgowa do Londynu, gdzie podobnie będzie przemawiać publicznie o domowym przemysle kobiet i zarazem zwróci się do przedsiębiorców dla uzyskania zamówień na wyroby, których już kobieta irlandzka z prowincyi Donegal jest w stanie dostarczać handlowi stołecznemu.

Patrzac na tę panią, na tę skromną, cichą spokojną kobiecie, i myśląc, ile dobrego może czynić, wywołuje się na pamięć Salomonową przypowieść o małej pszczołce, która tak wiele słodczy nagromadzić umie.

Aby nie prześladować swego listu zbyt ciężkim pakunkiem trosk i realnych zabiegów życia, czynię skok, który mnie stawia u bram ideału — u furty poezyi. Publikacją literacką, o której mówi się tu najwięcej, szczególnie w sferach wyższych jest świeżo wydany tomik poezyi Tennysona — zielona książeczka, jaką poeta laureat wybrał sobie od początku swej literackiej kariery dla pierwszych wydań swych poezyi. Ongi, za lat swoich młodzieńczych napisał on poemat pod tytułem: „Locksley Hall“, który jest historią młodej miłości i młodego zawodu — żalu, zniechęcenia, z przebijającym się przecież wskroś tych uczuć, jak słońce przez chmurę, pragnieniem niezakosztowanego szczęścia i pełni życia, pieniącej się w tej czarze. Obecnie najważniejszym i naczelnym utworem *zielonej książeczki* jest „Locksley Hall Sixty Years After“ (Locksley Hall po sześćdziesięciu latach), rzecz pełna melancholicznej zadumy nad życiem i nasycenie się niem już widoczne — przecież wcale nie pesymizm. Można by to określić przysłowiem francuskim: „Tout passe, tout casse, tout lasse...“ jednak mimo to zostaje w sercu poety niezatraczona wiara w ideał, tylko podnosi się on teraz ponad osobiste szczęścia pożądanie i okazuje uspokojenie się w sobie ciche — zwrócenie wzroku kędyś w dal, ku górze...

Tennyson nie był nigdy wielkim, wzniosłych polotów poetą, ale jest w nim ciepło szczerzego uczucia, jest pewien słodki wdzięk słowa — koloryt swojski, z miłością natury i wsi złączony, który go czyni poczytnym i miłym jego narodowi. Książkę ofiarował on żonie swojej, a w dedykacyi tej „Locksley Hall“ nazwane jest monologiem, więc rozmową poety z samym sobą — z duszą swoją. Przecież ani pierwsza, ani druga część tego poematu nie jest autobiografią — historią jego życia według prawdy wydarzeń, lecz może to być i zdaje się, że jest historia uczuć, marzeń, nadziei jego. Tak też jest zwykle z poezją każdą, skoro tylko prawdziwą jest, a nie sztucznie tworzona: poeta opowiada w niej swoje, choć nie swoje niby, dzieje.

Publiczność angielska oczekuje przecież w tych czasach rzeczy gorętszej — patriotycznego hymnu, napisanego przez Swinbourne, a mającego ukazać się wkrótce w antologii, wydawanej przez Mrs Davenport Adam: „Sea Song and River Rime.“ Głoszą naprzód, że wiersz to jest pełen zapachu i poetycznego ognia — głos do marynarzy angielskich: „A Word for the Navy.“ Poeta piętnuje nazwą wrogów ojczyzny i złych jej synów wszystkich, którzy szczęście jej widzą jedynie w gromadzeniu bogactw i gnuśnym pokoju. „Inne są skarby, inne majątki ludów!“ woła Swinbourne w hymnie swoim i stawia za przykład Grecję, która, pogromicielka Persów, była: „ubogą, dumną i wielką!“ a potem pani miast i osad wielu: „kłęzczała u nóg Filipa“.

Ma to przypominać Byrona strofy z „Don Juana“ „The Isles of Greece! the Isles of Greece!“ ale brać natchnienie i rozpęd poetycznej siły od takiego wzoru, nie jest to jeszcze rzeczą pomniejszającą wartość utworu. Swinbourne jest poetą młodej Anglii.

W dziedzinie belletrystyki powieściowej nie posiada dzisiejsza Anglia żadnego wielkiego powie-

ściopisarza, jak Walter Scott, Dickens, a choćby Bulwer, ale jest nadzieja, obietnica, można powiedzieć zapowiedź już, którą daje Łukasz Mallet, znany wam, bo pierwszą jego większą powieść: „Wydziedziczony“ drukowaliście w przekładzie. Onida, której talent był zawsze mniej ceniony tu, niż na kontynencie, wypisała się już widać, bo ledwo daje znak o sobie małym, i średniej wartości, powiastkami. Była ona w większych swych powieściach za drastyczną, aby Anglicy wpuścili ją w sferę literatury wyższej, przytem nie lubią tu samej osoby i nie bardzo cenią. Anglik żąda od kobiety, zwłaszcza występującej publicznie, spokojnej godności, a ona droczy się ustawicznie z opinią, podnosząc wciąż w dziennikach jakąś kwestyą sporną i teraz niedawno wytoczyła publiczności angielskiej proces z powodu czegoś, co dotyka praw zwierząt. Zwierzęta, to jej protegowani, za których walczy, dzieląc się w tem sławą z Ludwiką Michel.

Będzie to może wykroczeniem poza granice mego przedmiotu, że przy okazji napiszę wam słówko o świeżo wyszłej francuskiej książce niejakiego Wiktora Meunier: „Avenir des espèces Les Singes domestiques.“ Gdy według praw ewolucyi małpy dojdą do wyższego stanu rozwoju, nastanie wiek złoty, bo ten gatunek, niższy od człowieka wejdzie wtedy w jego służbę i nikt już z naszego gatunku nie będzie pracował, służąc drugiemu, „Avec le chien nous avons conquis la nature. avec le singe nous fonderons la société heureuse!“ to założenie dzieła, rozwiązującego w ten sposób wszystkie trudności zagadnień społecznych. Brzydko to jest jednak ze strony autora, że chce wziąć w „niewolę pracy“ białych goryli i urangutangów, przytem nie jest on prawdziwie wspaniałomyślnym, i nie dość dla całej ludzkości sercem wylanym, ponieważ twierdzi, że tylko demokracja może użytkować małpy w przepowiadaniu przezeń sposób. Więc tam, gdzie nie będzie takich, jak autor, demokratów, „avenir des espèces“, nie wyda również szczęśliwych rezultatów i małpy nie będą wyręczać ludzi?

To wyjście poza mój grunt niech mi posłuży za punkt porównania: w Anglii takich książek niemal!

Na zakończenie opowiem wam o wielkim kłopotie, jakiego narobił tu Londynowi — śnieg! Pruszył dni parę w początkach miesiąca, aż jednej śnieżnej nocy spadł tak obficie, że go się rano białni ludziska przelekli i nakazano conajprędzej alic — soli. Solono je też tak, że jedna parafia, o Londyn dzieli się na parafie, wysoliła piętnaście tonów soli, za co jeszcze zarząd miejski został srodze skrzyżany przez jedną śmiałego serca niewiastę, i to w organie dworskim: „The Queen“ (Królowa).

Bo też narobiono ogromnego błota, a słona woda, płynąca strumieniami, przesiąkała obuwie przechodniów z najgorszym dla nich skutkiem. Wyschnąć prędko nie chciały, a przytem wróżyć było można kurczenie się i pęknięcie skóry, czego owa dama dowiodła uczenie, cytując, w argumentach przeciw soli, Farenheita. Za to panie jeżdżące powozami miały wielką uciechę ze ślizgawki w Hyde Parku na zamarzłych falach Serpenty. Ślizgano się cały dzień, ślizgano się przy pochodniach dopótna w noc, a pisma przypominały, że w 1861 r., gdy zima była w Anglii wyjątkowo surową, ślizgało się na tej rzeczce w dniu 6 Stycznia 30,000 osób.

Tegosamego dnia ślizgało się w Regent Parku 25,000 osób; w Saint-James Parku 6,000, w Kensington Garden 4,000, i to jest dowód, co znaczy przyjemność zakazana, gdy los dorwać się do niej pozwoli! Dzienniki francuskie piszą, że Paryż kupuje sobie dziennie fiołków za 60,000 franków...

Bogdaj Warszawa miała pragnienia rzeczy nie tak prędko topniejących, nie wędnących tak łatwo! — Vale.

F.

Kronika działalności kobiecej.

— Warszawska Rada Miejska Dobroczynności Publicznej przyjęła legat hr. Maryi Stadnickiej w summie rs. 3,000, na założenie i utrzymywanie jednego łóżka w szpitalu dziecięcym.

— Tekla Łeska, zapisała po 3,000 rs.: na budowę kościołów na Koszykach, na Grzybowie, na Zakład Paralityków, na Przytulisko, dla stowarzyszenia S-go Wincentego a Paulo, na wsparcie Nędzy Wyjątkowej. Po rs. 1,000: na Schronienie Nauczycielek i na Zakład przy ulicy Żytniej.

— W Radomiu właścicielka jednej z cukierni tamtejszych wydaje dziennie 30 porcy herbaty ubogim. W temże mieście druga miłosierna pani: Wrońska, zamieszkała przy ulicy Lubelskiej, daje w czwartki i niedziele dwa obiady ubogim.

— Z Iwanowskich księżna Wittgensteinowa, spadkobierczyni i egzekutorka ostatniej woli Liszta, summe 40,000 marek zostawioną sobie do dyspozycji na cele artystyczne, przeznaczyła na pomoc dla kształcących się w Rzymie muzyków polskich.

— Uczennice jednej z warszawskich pensji zobaczywszy przez okno, iż ruchomości niezamożnego lokatora teje kamienicy, gdzie mieściła się pensja, ojca kilkorga dzieci, mają być licytowane za dług 100 rs. i w tym celu są już wynoszone na podwórze, uczuły poczciwe wzruszenie litości i oddając wszystkie posiadane pieniądze, zebrały na umorzenie długu kilkadziesiąt rubli. Przełożona zakładu dodała od siebie rs. 10; komornik, pociągnięty przykładem, zrzekł się wynagrodzenia, należnego mu za dokonane zajęcie, a brakujące jeszcze kilka rubli fantowany biedak zdołał dodać i młode grono szlachetnych dziewczeczek dokonało dobrego czynu. Piękny to początek życia, piękna zapowiedź przyszłości.

— Zajęcie się kobiet dobrej woli przemysłem krajowym już wchodzi w życie. Z natchnienia hr. Potockiej, właścicielki dóbr Antoniny w Powiecie Zasławskim, na Wołyniu, został założony tamże bazar, mieszczący towary spożywcze, żelazo, oraz wyroby żelazne i stalowe, za tem właśnie to, czego wieś na zwyczajne użycie najwięcej potrzebuje.

— Na Podolu, we wsi Suprunowie, w okolicach Winnicy, p. Jozefa Iwanowska, uczennica muzeum pszczolniczego na Koszykach, prowadzi nieżonatemu bratu gospodarstwo pszczolne i ogrodnicze wspólnie z drugą siostrą. Panie te zmieniają się w zajęciu tem co dwa tygodnie i w kolej jedną zajmuje się gospodarstwem domowym, druga pasieką i ogrodem. Miła to, dobra wspólna rodzina, i zarazem przemysłu domowego, który jest tak pożądanym dla kobiety w rodzinie, a liczy przecież bardzo wiele i rozmaitych gałęzi. Pszczolnictwo, ogrodnictwo, jedwabnictwo, uprawa roślin lekarskich, hafciarstwo, koronkarstwo, płóciennictwo, pończosznictwo maszynowe, wyrób przedmiotów odzieży ludowej, w zakres ten wchodzi, obok gospodarstwa mlecznego i hodowli drobiu. Sklepy wiejskie należą także do zajęć przemysłu kobiecego, a przy umiejętnym i starannym, przecież nigdy nieuciążliwym, zbytnie nieutrudzającym zajęciu, mogą one przynosić, zwłaszcza we wsiach parafialnych, dochód pewny i wart łóżonej pracy.

— Dr. Anna Dobrska będzie mieć w szeregu

dziesięciu prelekcji na korzyść Osad Rolnych, odczyt „o indywidualnej zdolności do szczęścia.”

— Matica czeska, to jest stowarzyszenie z podobnym, jak wyżej celem utrzymania narodowości, szerzenia między ludem oświaty na podstawie indywidualności narodowej, miało w przeciągu ostatnich lat pięciu milion złotych reńskich dochodu, przyczem organ Maticy wdzięcznie przyznaje, że kółka kobiece przyłożyły się do szczęśliwego rezultatu niemal w połowie. Zatem ciążący dotąd na kobiecie czeskiej zarzut nierozbudzenia się do życia z celem wyższym, obojętności w sprawie publicznej, upada, zbitý przez fakt podany.

— Znaczna liczba nagród i oznak wyższego uznania została w tych czasach przyznana kobietom francuzkim, i kto uważnie wpatrzy się w społeczeństwo francuzkie i przejrzy dzieje jego dobroczynności, ten nie wyda nigdy rozpowszechnionego sądu, jakoby Francuzka była tylko lekomyślną elegantką, płochą wietrzną, i tak: wdowa po Michelecie została ozdobiona przez Akademię Francuzką za wydanie pożytecznej i patriotycznie napisanej książki dla młodzieży: „Geografia Francji” palmę akademicką, który to znak honorowy daje tytuł „officier de l'Academie”, Franciszkowej de Juilliot przyznano nagrodę Montyona (2,000 franków) za książkę „Terre de France”, Joannie Cazin również nagrodę Montyona (1,000 fr.) za książkę: „l'Enfant des Alpes”, Siostra Batylda, z domu Laborde, zajęta miłosierdną obsługą wojskowego szpitala w Beauvais, otrzymała krzyż legii honorowej przy udzielaniu tych nagród w dniu Nowego Roku, a kto sobie przypomni, że w Paryżu Rada Miejska usuwa ze szpitali Siostry Miłosierdzia, kto sobie przypomni strój umysłów panującej dziś nad Francją partii ten uznać musi, że zasługa musiała tu być niemałą i zdolną przejednać uprzedzenia.

— Dalej M-me Furtado-Heine, która wydała miliony na miłosierne wzniesiony w Paryżu, a ogromny dom zdrowia i porady lekarskiej dla dzieci, otrzymała od Paryżkiej Akademii Medycznej złoty medal, zasługi. Podobny medal złoty od teje Akademii otrzymała M-me Dameune, za liczne a zupełnie dobroczynne szczepienie ospy dzieciom biednym, dokonywane liczenie i z pomyślnym skutkiem. Amelii Plumpke, Alzatee, udzieliła także Akademia Medyczna nagrodę Godard'a (1,000 fr.) za rozpowszechnienie po wsiach między kobietami wiejskimi wiadomości higienicznych.

— Paulina Kirgomard, z domu Réclus, siostra znakomitego geografa, Eliasza Réclus, inspektorka elementarnych szkółek dziewcząt w Paryżu „écoles maternelles” została członkiem Paryżkiej wyższej rady edukacyjnej.

— M-elle Fournier złożyła na ręce paryżkiej Akademii nauk moralnych i politycznych summe, od której roczny procent 3,000 fr., ma stanowić nagrodę zachęty dla osób studyjących sposoby możliwego polepszenia losu ubogich klas pracujących.

— M-me Dumas, (wdowa sławnego chemika), została obdarzona marmurowym popiersiem zmarłego męża przez jego towarzyszy, członków Paryżkiej Académie de Sciences.

Razem jest to niemały zastęp kobiet odznaczających się na rozmaitych drogach szlachetnej działalności, a w choć w tym samym czasie krewni, usiłują odjąć owdowiałej księżnie Persigny, obecnie M-me Lemoyne, zarząd majątkiem z uwagi, że straci w najnędzniejszy, najszańszy sposób kolosalną fortunę; choć zupełnie to samo działo się z rozwiedzioną księżną de Beaufrémont,

przeciw której występowały sędownie dwie matki: jej własna, i mężowska, żądając podobnie w połączonej akcji sądowej ubezwładnienia zbytnicy, niemniej Francya posiada taką liczbę poświęconych, szlachetnych, patriotycznych kobiet, że jeszcze nie można zwątpić o tym narodzie, który tak długo przodował ludzkości w cywilizacji. Tam tylko już jest złe, złe bez ratunku, gdzie wobec moralnego upadku jednych, niema oddziaływającej energii drugich.

— Wiktorya Bénoit, młoda panna, po świeżo przebytej doktryzacji i udzielonej jej godności doktora medycyny, została mianowana nauczycielką higieny i nauk przyrodniczych w zawodowej szkole dziewcząt, (école professionnelle). Jest to nowe i rozumne zużytkowanie nauki kobiecej w tym kierunku.

— Paryżkie zjednoczenie malarek i rzeźbiarek stając się przy zwiększonej liczbie członków swoich i uczestników, stowarzyszeniem posiadającym już pewną powagę i siłę, wniosło do rządu podanie, aby otrzymało uznanie go publiczne, jako osoby moralnej. Wiele wpływowych i wysoko położonych osób, zwłaszcza pań, stara się o to dla zjednoczenia.

— Księżna Galliera, wzniosłszy w pobliżu Trocadero gmach, który zajmuje 4,000 metrów obszaru, a którego budowa kosztuje 3,000,000 franków, darowała go miastu Paryżowi z warunkiem, że ma służyć jako muzeum dla zbiorów sztuki, nauki i przemysłu, nosząc nazwę „Muzeum Galliera”. Są to dopiero mury same, bez żadnych ozdób i wykończenia potrzebnego.

— We Włoszech zaczęło wychodzić od Nowego Roku pismo wydawane i redagowane przez trzy włoskie panie—miesięcznik noszący tytuł: „Rassegna degli interessi Femminili.” Podpisuje je, jako redaktorka główna, signora Fanny Zampini Salazaro, kobieta poważna i używająca w Rzymie opinii osoby wysoko wykształconej i wyższych umysłowych zdolności. Programat jest niemal tensam, co naszego pisma, z podobną kroniką działalności kobiecej, „aby to służyło za wskazówkę, co może być pożyteczną pracą kobiety, tak dla niej osobiście, jak dla społeczeństwa i ojczyzny”. Prospekt, który dotychczas doszedł nas jedynie, nie ukrywa, że kobieta włoska jest mniej czynną i mniej do pracy uzdolnioną, niż kobiety innych krajów, że uczyła się dotąd mniej i gorzej.—„Jeżeli za mąż nie wyjdzie, lub owdowieje, radzić sobie nie umie, ponieważ nie posiada tych zasobów wiedzy i wyrobienia umysłowego, co kobiety innych krajów”. Wszystko to jest napisane z powagą i godnością.

— Róża Bonheur, już obecnie zdrowa zupełnie i pracująca bardzo wiele, przebywa zimę w Nicei, gdzie zabrała ze sobą dwa lwy, wypożyczone jej z menażeryi paryżkiej przy ulicy Porte Maillot, a które służyć jej mają do obrazu, malowanego na zamówienie do Ameryki.

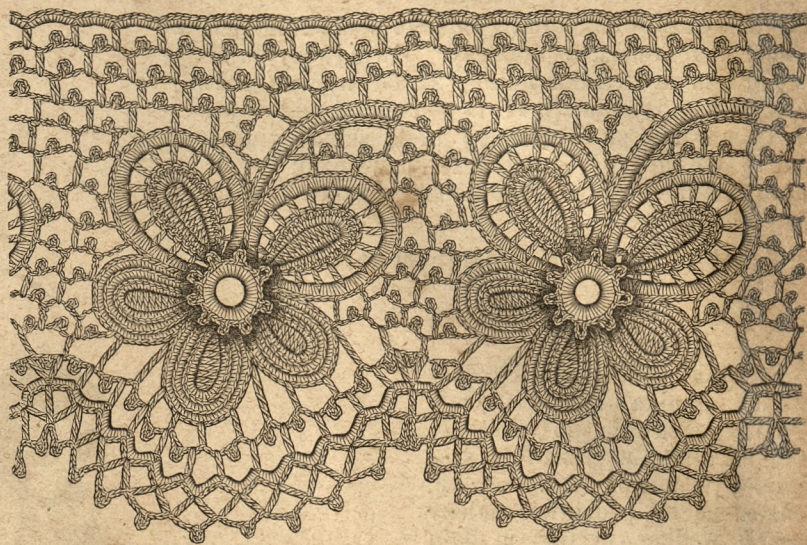
Do dzisiejszego numeru *Bluszczu* dołącza się arkusz 13-ty powieści pod tytułem: **Ostatni Batory**, przez Mikołaja Josika.

TREŚĆ: Rzeźbiarz Hadryana, poezya, przez Miriama. — Zabiegi pana Piotra, powieść (dalszy ciąg), przez Sewera. — Przegląd teatralny, przez St. Krzemińskiego. — Nowiny paryżkie. — Dziedziczność psychologiczna, przez Dra J. Starkmana. — List z Anglii, (dokończenie). — **Kronika działalności kobiecej.**

Dodatek obejmuje: Arkusz 13-ty powieści pod tytułem: **Ostatni Batory**, przez Mikołaja Josika.—33 wzory ubiorów i robót z opisem.—Sekreta gospodarskie.—Dyspozycją stołu.



Nr 1. Koronka robotą szydełkową.



Nr 2. Koronka szydełkową rob.

Koszyk do roboty na nóżkach haftem podkładanym.

Rycina Nr 5. Wzór pierw. str. tabl. Nr V, fig. 26

Koszyk z trzciny i lyczka, lakierowany na kolor brązu, wybity w środku atlasem marszczonym, koloru palonej cegły, z wierzchu zaś przyozdobiony drapeiriami z pluszu pawiego koloru, naktórym wykonany jest haft według deseni przedstawionego na tablicy kroju pod f. 26. Przeniosłszy deseń na białe sukno, należy kontury obwieść łańcuszkowym ścięciem, brązową filozelą, środek zaś arabesków zappełnić złotym kordonkiem, w pęteli skręcanym, oraz krzyżykami niebieską i różową filozelą, okalając te ostatnie błyszczącymi kordonkami. Środkowa gałązka haftuje się filozelą koloru ceglaste-go, złotą przędzą i metalowym (błyszczącym) kordonkiem. Po wykonaniu haftu należy powycinać sukno pomiędzy konturami deseni a podłożwszy takowy różowym atlasem przymocować na pluszu. Kokardy z wstążki 6 centim. szerokiej koloru jasno-ceglaste-go i pawiego zdobią koszyk według ryciny.



Nr 3. Znak do bielizny.



Nr 5. Koszyk stojący do roboty podkładanym haftem. Deseń pierw. str. tabl. Nr V, fig. 26.



Nr 4. Znak do bielizny.

należy wykonać tło siatkowe, 36 cent. szerokie, dowolnie długie, z szarych grubych nici na waleczku 2 cent. obwodu mającym, poczem zappełnić kratki siatkowe, różnokolorową perską włóczką i obdziergać według deseni (ryc. 9) pasową i oliwkową włóczką. Środki kwadratów haftują się na przemian niebieską i różową włóczką, ścięciem tkackim, boczny deseń brązową włóczką, ścięciem cerowanym, przewlekane liście, oliwkową w dwóch cieniach, wreszcie kółeczka środkowe, naprzemian różową, niebieską i liliową włóczką. Gwiazdeczki haftują się szarą i oliwkową włóczką, kółka środkowe pasową. Wykończywszy haft należy według konturów deseni wyciąć na potrzebne brzegi siatki.

Ubranka na głowę.

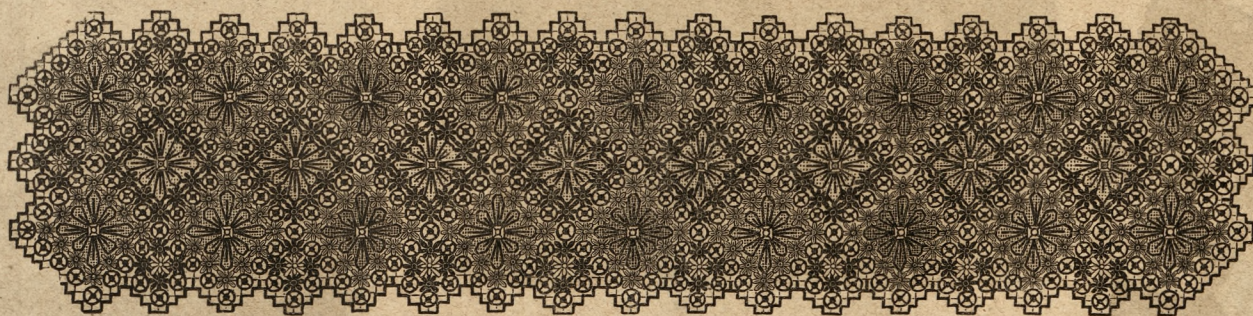
Rycina Nr 10 i 11

Ubranko ryciny Nr 10 stanowią 2 kokardy, jedna z pasowej wstążki, druga z aksamitnej, tudzież z 4-ch pukielków z wstą-

Pokrycie na oparcie sofki.

Rycina Nr 8 i 9.

Na to pokrycie



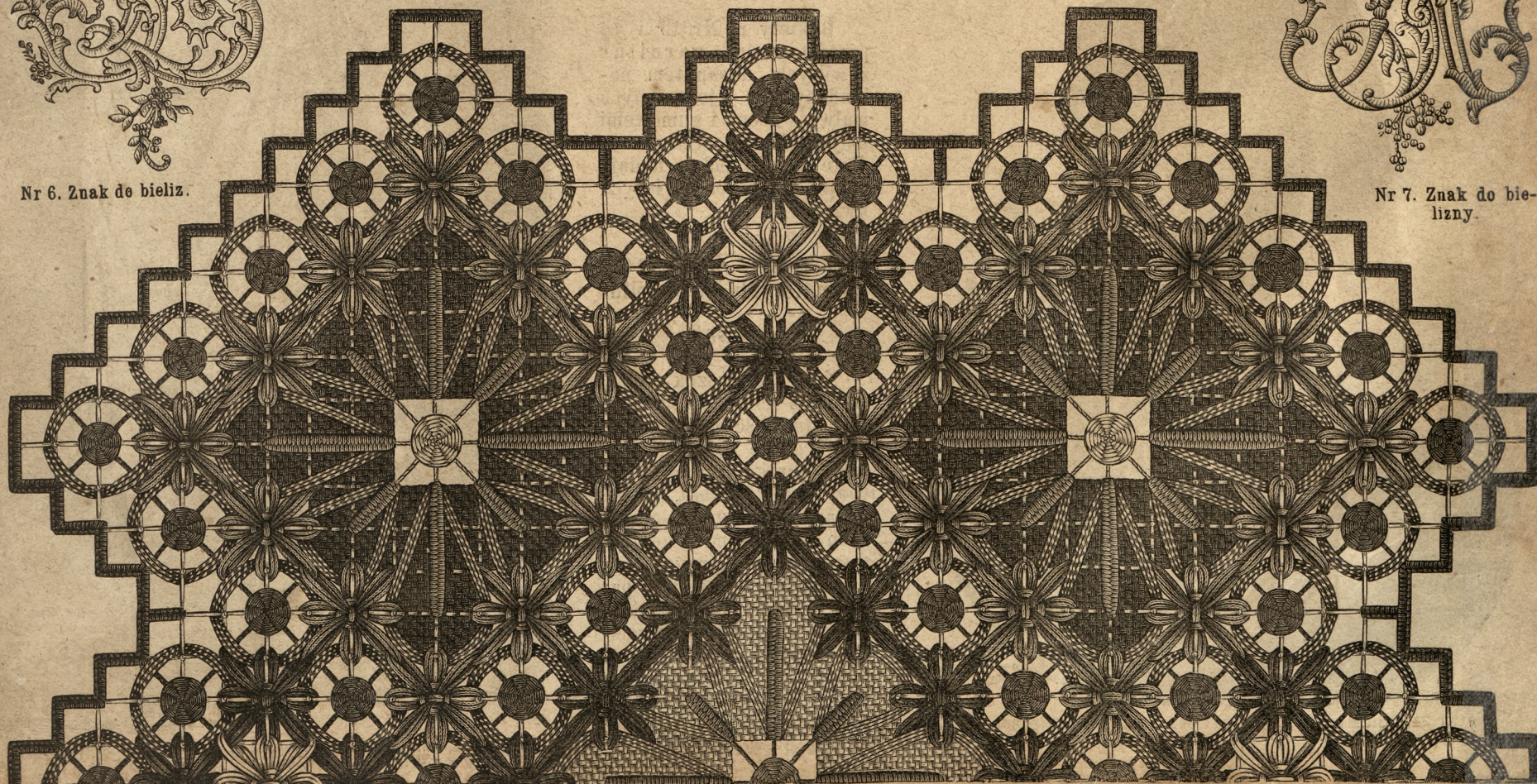
Nr 8. Przykrycie na oparcie sofki siatkową gipiura.

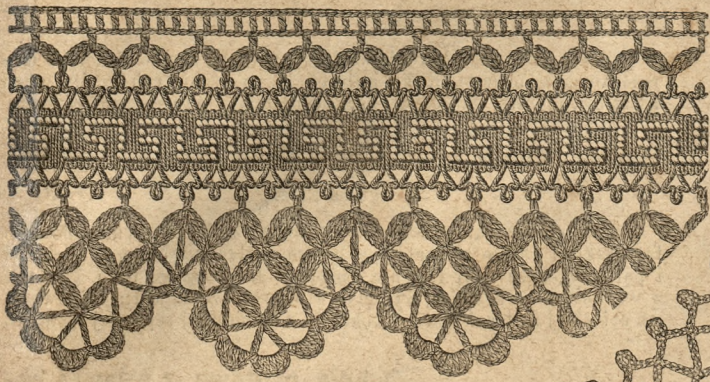


Nr 6. Znak do bieliz.

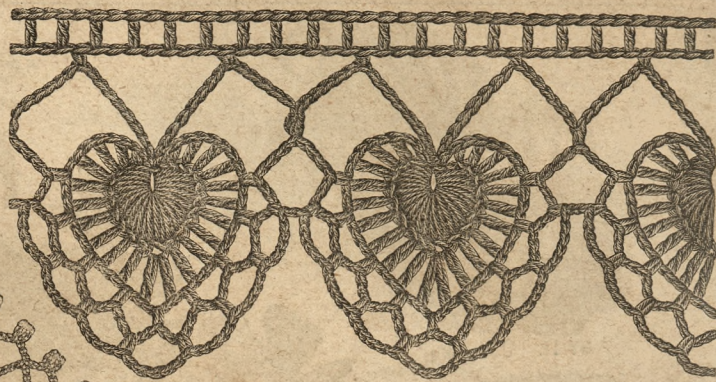


Nr 7. Znak do bielizny.





Nr 26. Kronka szydełkową robotą i maszyn. szlacz.

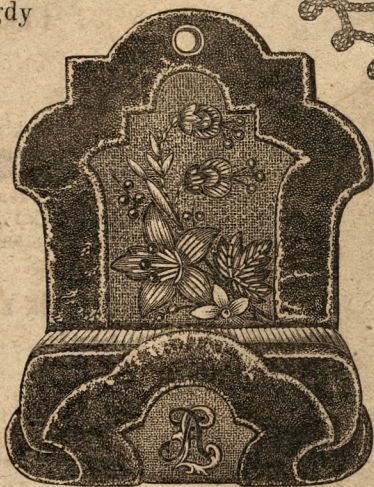


Nr 27. Koronka szydełkową robotą

Przepisy gospodarskie.

Zupa z ogonów wołowych zwana „Ose-Tail“.

Słyszałam wielokrotnie o jakiejś zupie angielskiej z ogonów wołowych, gdy w tych czasach jedząc obiad w hotelu brühlowskim, jednej z najlepszych kuchni w Warszawie, podano mi ową zupę, po odbytej rozmowie z kucharzem, podałem jej szczegółowy przepis. Oczyszczone i pokrajane ogony wołowe zalać zimną wodą i gotować jak każde mięso, naturalnie dłużej, bo twardsze, odbierając czysto, — włożyć dużo rozmaitej włoszczyzny, korzeni lub liści bobkowych, angielskiego ziela, pieprzu, kwiatu muszkatołowego, cebuli i tak długo gotować, aż będą zupełnie miękkie. Wtedy przecedzić zupę, zaprawić ją, na 4 osoby 2 ogony rachując, mąką kartoflaną, osolić, wlać kieliszek madery i łyżkę soi angielskiej „laboul“, wsypać odrobinę kajenny, włożyć pokrajane ogony, trochę oddzielać gotowanych truflów lub pieczarek, kilka plasterków marchewki i odgotować oddzielnie drobne knele, rodzaj kluseczek z mięsa tłuczonego, służących zwykle za garnitur do „vol-



Nr 29. Schowanko na szczotkę do czyszczenia rzeczy.



Nr 28. Kwadrat do ryc. 33.

Nr 31. Teczka do listów i t. p.
Deseń odwr. str. tabl. Nr X,
fig. 55.

Nr 30. Woreczek ściągany do roboty

au-vent“, do potrawy białej lub tym podobnych. Zupa jest wyśmienita i zupełnie oryginalna, podawana na najarystokratyczniejszych stołach londyńskich.

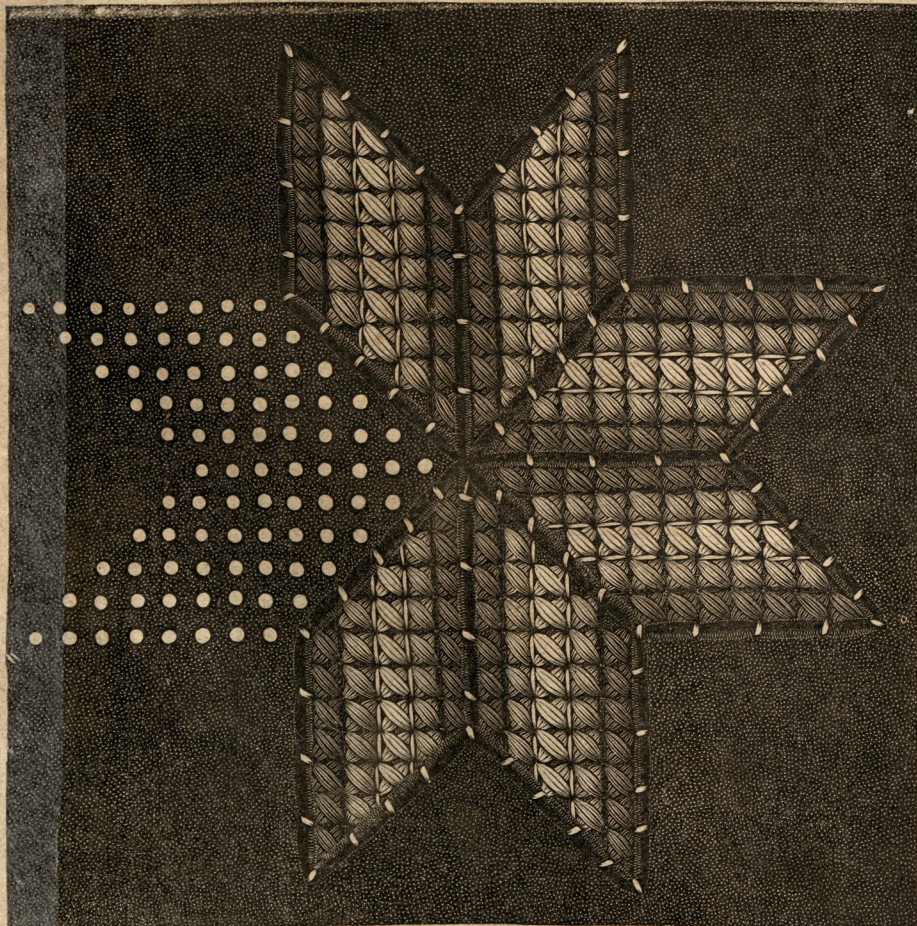
L. C.

Obiad na Niedzielę.

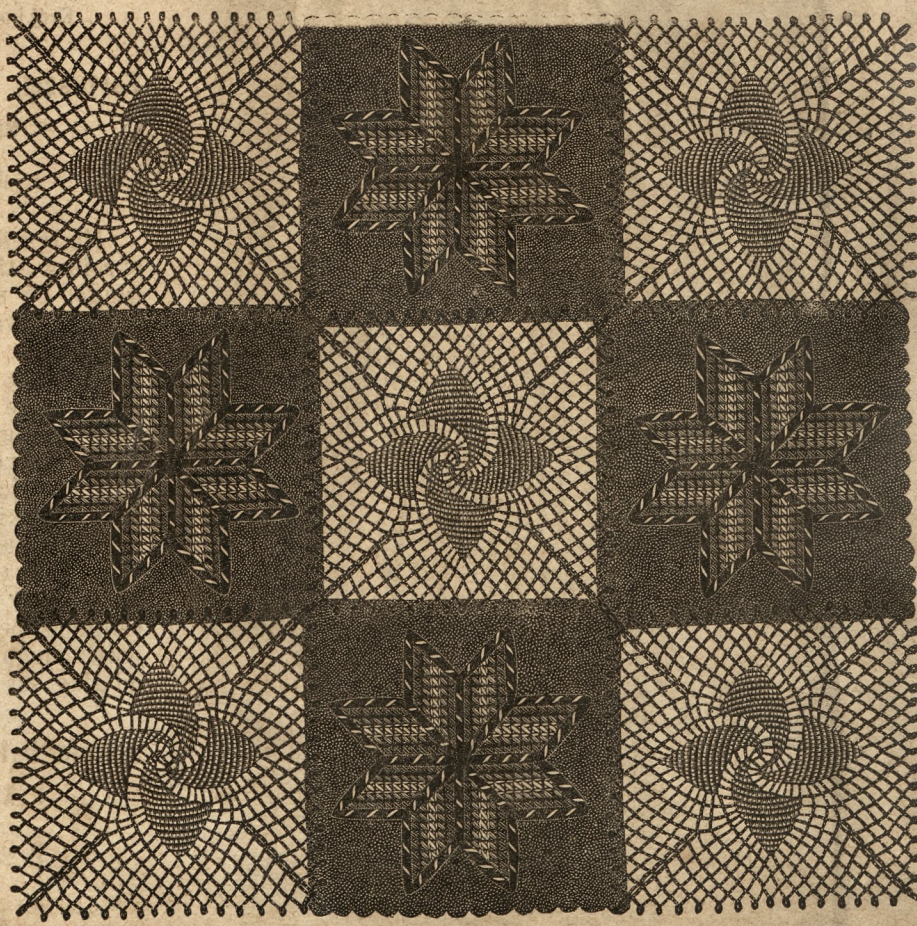
1. Zupa ogórkowa na cynadrach.
2. Zrazy „à la Nelson“.
3. Groszek zielony z konserwy z grzankami.
4. Kuropatwy z kompotem.
5. Suflet pomarańczowy.

U W A G A.

Tablica krojów, objaśniająca wzory ubiorów i robót w dzisiejszym numerze podane, dołączoną będzie do N-ru 7 Bluszczu.



Nr 32. Gwiazdka haftowana do serwety ryc. 33.



Nr 33. Serweta robotą szydełkową i krzyżowym ścięciem.